ŚWIAT

Nr. 16 - 20 - IV - 1929



FOT. MARIAN FUKS

HUMOR ZAGRANICZNY



ONA: — Pan mógłby być dobrym tancerzem, tylko panu przeszkadzają dwie rzeczy.
ON: — Jakie
ONA: — Nogi!

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.
ROK XXIV
ŚWIAT
NR 16
WARSZAWA, DNIA 20-go KWIETNIA 1929 ROKU
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



KORNEL MAKUSZYŃSKI

„MAŁPA Z TYKWĄ"

Każdy wie, co to jest małpa, nie każdy wie, co to jest tykwa, świętym natomiast obowiązkiem czytającego Polaka jest znajomość powieści Edgara Wallace pod tytułem „Małpa z tykwą". Na sto tysięcy szympansów i taką samą liczbę lemurów! Długo byłem cierpliwy, choć we mnie — jak mówi Zagłoba, z abominacji — „wnętrzności rebelizowały"; długo zaciskałem resztę zębów, patrząc, jak ten pan Wallace szaleje w Polsce, wreszcie jednak owa „Małpa z tykwą" przywiodła mnie do szału. Kto to jest ten mister Wallace? Jest to człowiek-demon, człowiek-fabryka, człowiek-maszyna do robienia kiełbasek ze zdechłych koni, człowiek-furjat, człowiek-kryminał; napisał podobno coś sto dwadzieścia powieści kryminalnych i wciąż pisze nowe, dyktując do parlofonu, bo żywy sekretarz już nie zdoła mu nadążyć. Niech pisze, jeśli ma zdrowie, bo nas to mało obchodzi, ale to nas już obchodzić zaczyna, co się z tym fabrykantem wyprawia na polskim rynku wydawniczym. Oto gdzie spojrzeć, wszędzie leży Wallace; wypchnął swoich i obcych, zajął wszystkie półki i wszystkie witryny, wepchnął się do wszystkich domów. Dotąd przetłomaczono coś ze dwadzieścia jego powieści i zapowiada się wciąż nowe i nowe. Na wszystkie kryminały świata! Kiedy Boy przekłada Monteskiusza, radować się należy. Jeżeli jednak ktoś zawala rynek, nieszczęsny nasz księgarski rynek potwornem głupstwem, po głowie pobić go należy.

Słowa nikt nie powiedział, gdy się tłomaczyło mądrego Conan Doyla, nikt nie miał pretensji, kiedy przywędrował do nas w przekładzie Maurycy Leblanc, wesoły, dowcipny i bardzo pomysłowy Francuz. Gaston Leroux, bardzo zręczny pisarz, nikomu nie wadził. Ten jednak straszliwy Anglik, ani mądry, ani dowcipny, ani pomysłowy, tak całe życie zmienia w ponury kryminał, że trzeba z nim już raz skończyć. Jeden z jego „bohaterów" tak powiada prześliczną polszczyzną:

„Kiedy wściekły pies kąsze, to się go zastrzela!"

O, wściekła psiakrew! Trzeba kogoś „zastrzelać!" Można być po polsku bardzo gościnnym, można nawet być bardzo zwarjowanym, ale już dość tego. Kto chce oszaleć sposobem dość tanim, bo za złotych polskich pięć i kto chce równocześnie za te same pieniądze dostać konwulsji na widok tej rzeźni, którą z polskiego uczyniono języka, niech sobie przeczyta „romans" tego ci Wallace'a p. t. „Łowca Głów". Okładano mi lodem głowę, a ja to czytałem, mdlejąc co czas jakiś, aby się przekonać, do jakich granic może dojść głupota ludzka? Chcąc się wreszcie upewnić, że to nie przypadek, lecz metoda, przeczytałem w ostatnich czasach wydany „romans", nazwany „Małpą z tykwą". Bóg raczył mi zachować w porządku moje zmysły, choć podczas czytania straszliwe wydawałem ryki, tłukłem porcelanę i rzucałem jak piórkiem ciężką szafą.

Ponure, wściekłe powieści Wallace'a są wszystkie robione na jedno szewckie kopyto. Kilku krwawych bandydów „zawzina“ się na biedną, zawsze śliczną damę, a z bandytami walczy dzielny detektyw, który w zakończeniu okazuje się największym łajdakiem i przywódcą zbrodniczej bandy. Głupawe to jest, ale można wytrzymać. Sto tysięcy angielskich djabów bierze jednakże człowieka, kiedy się przygląda scenerji takiej powieści.

Bandyci ciągle krzywdzą nieszczęsną dziewicę, a ta głupia nie może tego pojąć, i wciąż myśli, że są to ludzie bardzo przyjemni, co jej kupią cukierek. Raz taką złapała jej własna siostra, zakneblowała jej fizjonomję, związała ręce i nogi, zamknęła w jakiejś komórce i zaczęła piekielnie dręczyć, grożąc jej śmiercią wcale nie nagłą i długo spodziewaną. Dziewoi udało się zbiec, nazajutrz jednak otrzymała od owej jędzy list, w którym jędza oświadcza, że tylko tak wesoło z nią żartowała i tylko dla hecy chciała jej rozkroić nożem brzuch, wobec czego prosi ją o przybycie na kieliszek szampana. Dziewoja bardzo się ucieszyła, poszła do jędzy, pocałowała się z nią czule, a jędza nasypała jej do szampana trucizny. Ocalała jeszcze raz, więc ją jędza prosi na podwieczorek, dziewica przychodzi z uśmiechem, całują się, potem ją porywają, kneblują fizjonomję, i tak dalej, da capo al fine.

I taki autor chodzi żywy.

Powieść pod tytułem „Małpa z tykwą“ jest cudowna. Przeczytałem ją, zapewniwszy sobie w każdej chwili pomoc Pogotowia lekarskiego Nr. 500. Krótka jej treść jest następująca:

Na córkę lorda czyha łajdak Hamon, mający straszliwą przeszłość. Walczy z nim detektyw i udający bandytę uroczy amant, pan Morlake, który się kocha w córce lorda. Dzieją się między nimi straszliwe rzeczy. Czarnemu Hamonowi udaje się wreszcie namówić córkę lorda, aby na jego jachcie pojechała do Afryki. Córka lorda jedzie, chociaż wie, że zły Hamon czyha na nią i na jej cnotę. W Afryce zły Hamon ją porywa i chce z nią wziąść odrazu ślub, bo na córkę lorda dybie też jeden wściekły Arab. Sprowadzili pastora, który jest też rzezimieszkiem i już ślub ma się odbyć, kiedy córka lorda wykrzyka:

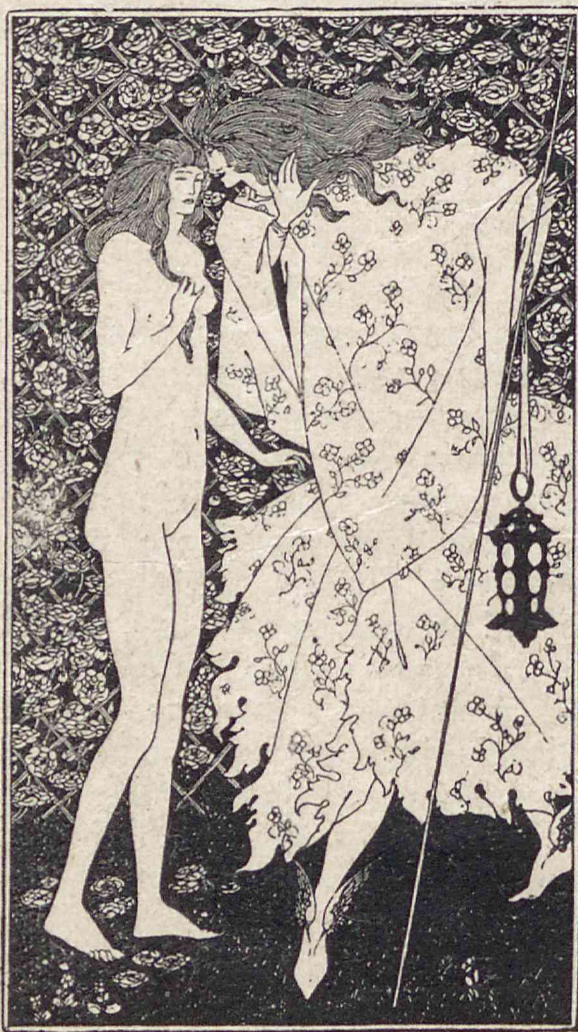
— Wolałabym wziąść ślub z tym okropnym żebrakiem, któregom spotkała na drodze!

Wścieknął się wobec tego łajdak Hamon i jako dotkliwy ironista, kazał złowić żebraka i połączył go ślubem z córką lorda. Żebrak wyglądał okropnie, miał potworną twarz i tylko dwa zęby. Ha! ha! Ten żebrak to był przebrany jej kochanek, sympatyczny Morlake. Wobec tego zastrzelili potem Hamona, co mnie nie zdziwiło, bo już przedtem, na stronie sto trzynastej powieści: — „zakrakał z twarzą drgającą konwulsyjnie“. Niczego lepszego nie jest wart człowiek, który „kracze z twarzą“.

On to jest — nieszczęśnik — tą małpą z tykwą.

Miły Boże! Taką historję wydaje firma księgarska zasłużona i sumienna, na której czele stoi dużej miary poeta. Co to wszystko znaczy? To znaczy, że czytelnik jest zdeprawowany przez rozmaite Renaissance i groszowe bibljoteki i że nie chce już innej książki i że wobec tego dają mu Wallace'a, aby interes szedł, zamiast go leczyć, jak od kokainy i dawać mu czystą strawę literacką, chociażby we własnym interesie, bo kryminał się przeje, a cóż się znajdzie wtedy na jego miejsce? Chyba...

Ja sobie niby wesoło o tem piszę, ale to jest straszne. Takie książki rozchodzą się w mnogich tysiącach, takie książki są zachłannie czytane; wszystkie księgarnie kolejowe zawalone są tym towarem, w pociągu innej nikt nie czyta. Gorzej że i w domu też. Niech ktoś, co ma jakąś nad polskiem księgarstwem władzę, przeczyta „Łowcę Głów“, a jeśli nie oszaleje doraźnie, niech się ulituje nad losem polskiej mowy, umęczonej w tej książce bez litości i niech coś uczyni na przyszłość, aby do takiej zbrodni nie dopuszczać. Bohaterem tej książki jest warjat, który dlatego ścina ludziom głowy, że miał pradziadka kata, a do zbrodniczych praktyk używają w tej książce jakiejś potwornej małpy, która napada ludzi. Ta małpa i naiwna bohaterka, są to, — oczywiście, o policji się nie mówi — jedyne uczciwe istoty pośród menażerji. Taka książka może się przyśnić. Zahartowany stary człowiek jako tako to przetrzyma, ale Bóg raczy wiedzieć, jakie straszliwe brewerje wyprawia tego rodzaju zwarjowane paskudztwo w głowie młodej i niedowarzonej.



Nikt nie ma formalnego prawa do wydawania zakazów, uniemożliwiających wydawanie takich i tym podobnych książek; wśród bardzo jednak cywilizowanych ludzi, którzy tworzą polskie księgarstwo, powinno zamiast prawa działać poczucie dobrego smaku. Należy zrozumieć, że taki, jak Wallace i jemu podobni autorzy, mogą sobie być wydawani na całym świecie, istnieją bowiem miljony ludzi konsumujących jedynie taką literaturę, u nas jednak, w naszych nieszczęsnych stosunkach księgarskich, jest to pasorzytnictwo i krzywda. Gdyby się na naszym rynku przelewało, gdyby książka polska miała byt zabezpieczony i zapewniony, niech by sobie kto chce wydawał Wallace'a, byle po ludzku tłómaczonego a nie małpim bełkotem. Kiedy jednak polska książka ledwo dyszy, kiedy niema skąd wziąść na papier i druk, kiedy czytelnik inteligentny ginie z głodu, a chamstwo ciężkim butem wali do spiżowych drzwi polskiej kultury, — nie należy karmić ludzi krwawiącym rozbełem zbrodni i potrawką z obciętych głów. Dość już kryminału, bandytów i szympansów, usiłujących gwałcić niewinne dzieweczki. Serję tych wydawnictw w języku polskim rozpoczęła obca nam, spekulująca na grubej sensacji firma wydawnicza wiedeńska, taka „Tyfusowa Dama“, która nie ma zapewne do tego pretensji, aby ją posądzać o obywatelskie poczucia; nie należy jednak prowadzić dalej tego handlu zepsutym, martwym towarem. Jest tyle ślicznych, obcych książek nieprzetłomaczonych, cóż z tego jednak, kiedy je wszystkie zasłonił ów modny „łowca głów“, właściciel

krwawej rzeźni, w której wyciągają żywcem kiszki z nieszczęśliwych „bohaterów", a czytelnika uderzają po głowie, jak ogłupiałego wołu. Rozpacz brała uczciwego człowieka, kiedy wydawano romanse o włochatym Tarzanie, idjotyzmy o „Królu małp", który się „ożenił" też z córką lorda, kiedy w „Dziwach doktora Lerna" wsadzono mózg ludzki w łeb byka, a ten byk, wydawszy ryk, chciał się w oczach czytelnika też z jakąś „ożenić" dziewicą, — nie można go przeto dobijać — (czytelnika, nie byka!) — ponuremi straszliwościami Wallace'a.

Osiągnął on wpływ tak przemożny, że ile razy ukaże się nowy jego tom w polskim przekładzie, w każdem niemal piśmie zjawia się wzmianka pochlebna, będąca, oczywiście, przedrukiem wydawniczego komunikatu. O, wstyd, wstyd! — bo na drugiej stronie tego samego dziennika wielki słychać szloch i zawodzenie, że ginie książka polska. Nie jest to zła wola, tylko niechlujstwo. Tak samo nie ze złej woli drukuje się całe szpalty o rozwodzie Poli Negri, a nie wspomni się o polskim uczonym. A dajcież przy sposobności już raz tej Poli Negri jakiegoś męża na wieki wieków i przestańcie się tem zajmować!...

Zirytowała mnie ta „Małpa z tykwą", ale — prawdę powiedziawszy — niepotrzebnie; raczej należałoby się zastanowić, czy polscy pisarze, nie mogąc takiej sprostać „konkurencji", czy nie powinni się zająć romansem kryminalnym? Materjał złodziejski na bohaterów jest bogaty i różnorodny. Cała w tem trudność, że niema u nas małp, nie można więc będzie znaleźć przedsiębiorczego dla bohaterki amanta, a bez takiej uroczej małpy cały interes na nic. Nie zechcą czytać.

Żart żartem, zacni panowie, ale już najwyższy czas, aby tykwę rozbić, a małpę kopnąć przykładnie, aby nie paskudziła w uczciwej polskiej księgarni.

Z WYSTAWY W WARSZ. TOW. ZACHĘTY



...an Kawecki



Portret p. X.

Fot Jan Wołyński



Gotko. Kompozycja

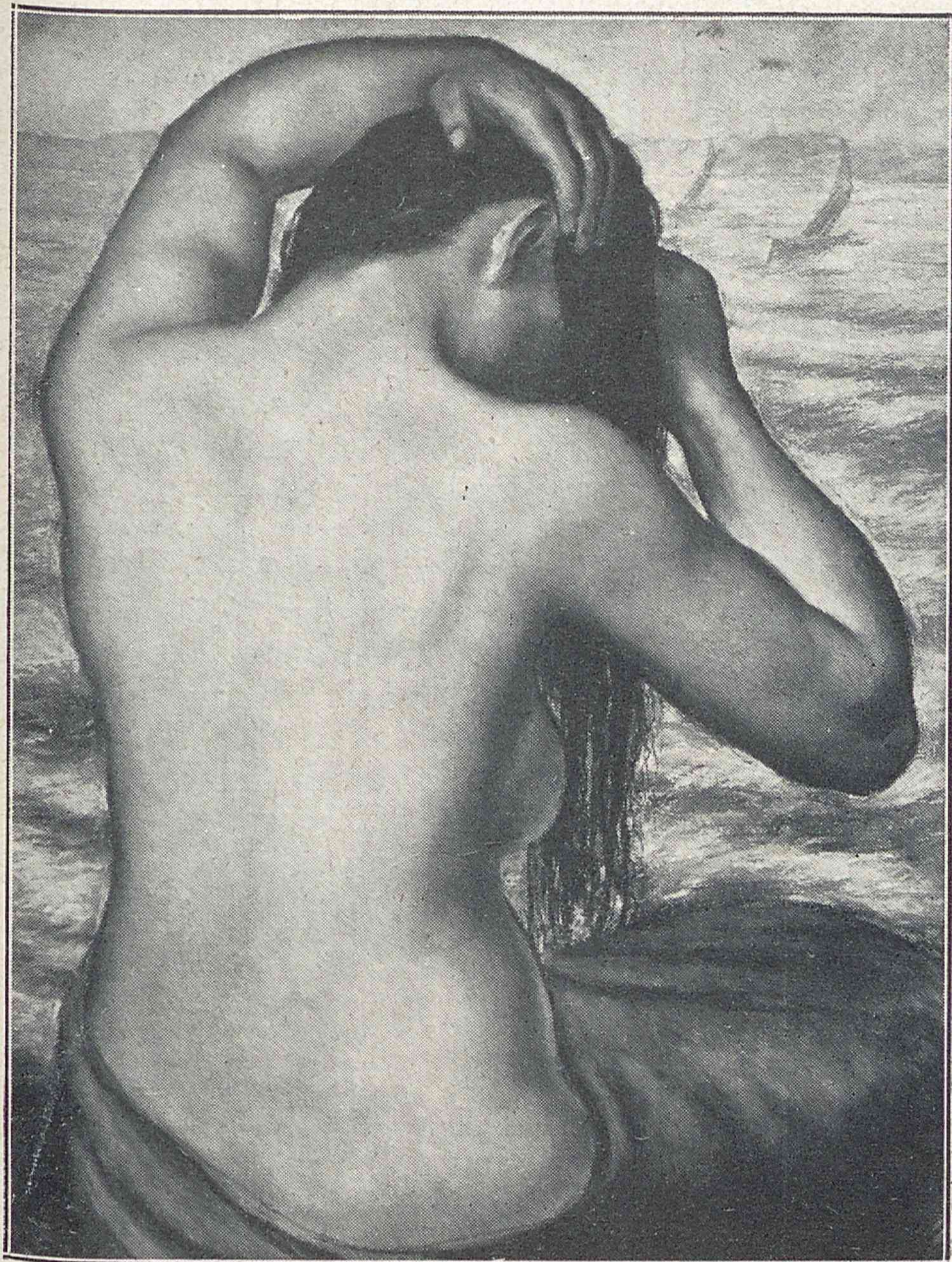


Thiriot. Parawan, wykonany dla p. Mistinguett

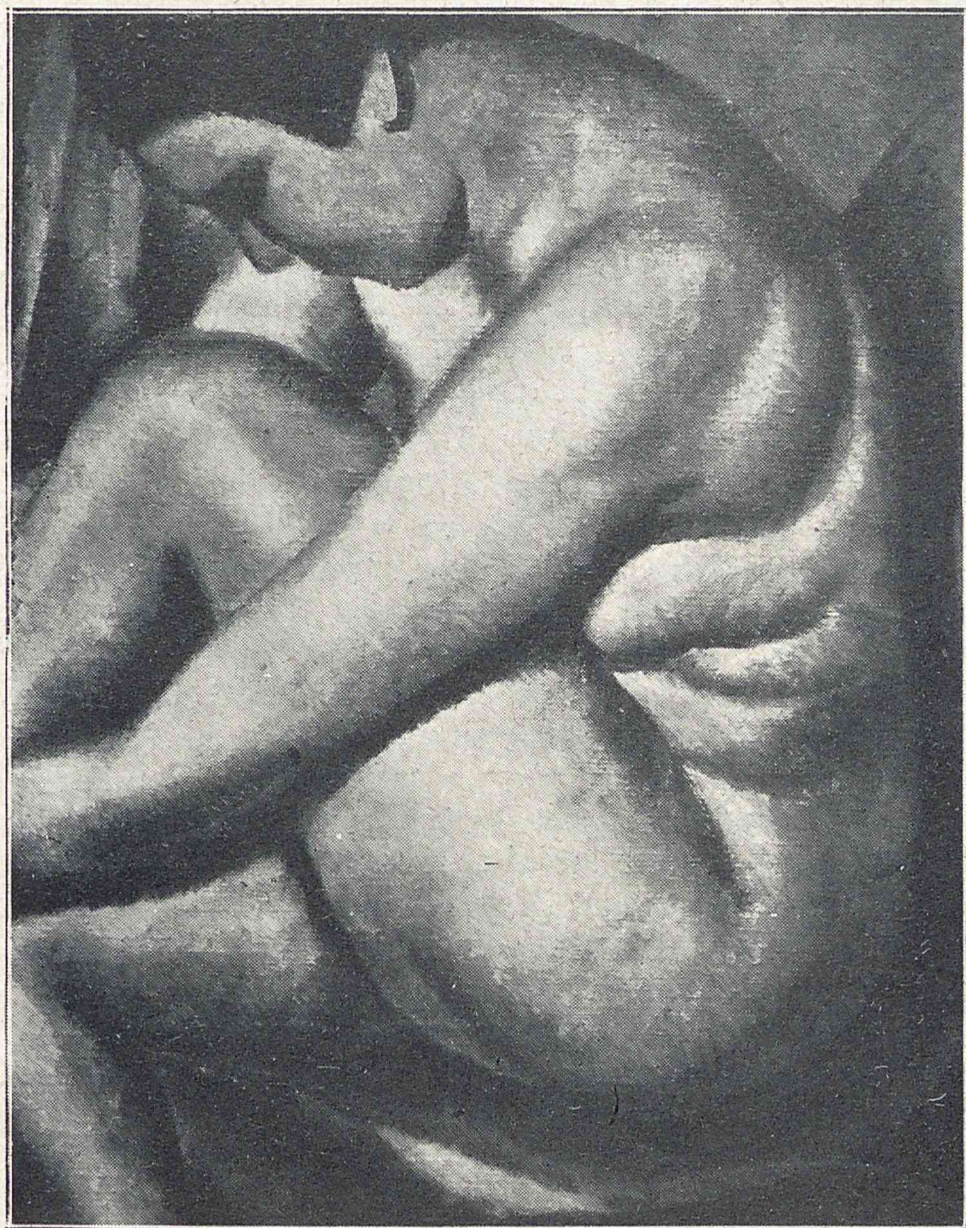
Fot. J. Roseman



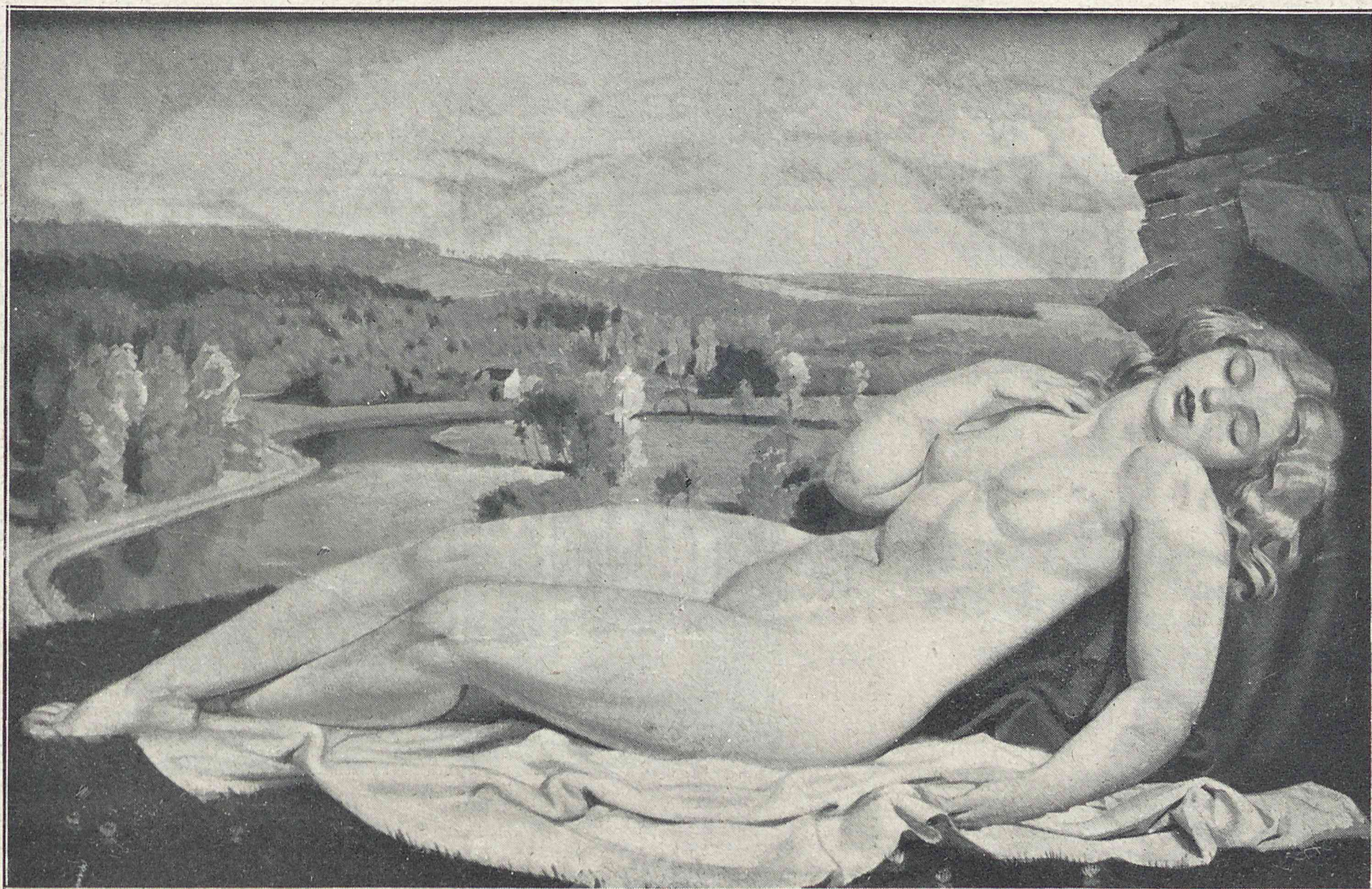
Pietri. Portret p. Chevalier, słynnego śpiewaka kabaretowego



D. Gennazo *Po kąpieli*



J. Januszewski *Akt*



Despujols Fot. Roseman ***Słodycz Francji***

PARYSKI SALON NIEZALEŻNYCH W 1929 R.

Znamienne zjawisko. Z każdym rokiem przybywa w Salonie Niezawisłych wystawców, i z każdym rokiem całość wypada coraz smutniej. Przeszło 4500 objektów — a wśród tego stosu plew jakże mało ważkich, pełnych ziaren talentu! Wiadoma rzecz, iż rozmaite wyroby simili wciąż jeszcze są w modzie: fałszywe futra, i rajery, fałszywe kwiaty, brylanty i perły. Moda ta panuje również w Salonie, gdzie pełno wyrobów malarskich, co to — spostrzec zdaleka — naprawdę na coś wyglądają: jest niby forma, kolor . . . — a z bliska — czysta imitacja. Dawniej wbród było ekstrawagancji, dziwactw — pieniło się to i burzyło — ale wśród namułu, śmieci i odpadków często trafiało się na jakąś próbę śmiałą, na ciekawą inicjatywę, na coś młodego i bujnego. Dziś? Pożal się Boże! Któżby przypuszczał, że przyjdzie nam wzdychać za tą epoką brzydoty nieprzytomnej, ale oryginalnej, jaką przed wojną spotykało się w tym salonie.

Liczba wielkich talentów coraz się uszczupla: dezerterują razem z młodszymi z zimnego opustoszałego przybytku... Jest jeszcze Signac, smętek p. M. Luce spotyka się z zapatrzonym w wiek XVIII Guérinem. Wdzięczne „Dziewczęta" Monteret stanowią niezły pendant do aktów Gennaro, Thomsena, Despujolsa, Martougena. Jędrne pejzaże Sabbagha, Urbaina, Tereszkowicza — robociarz zabawiający syna grą na harmonji, p. Gotko, ładny parawan, wykonany dla p. Mistinguett przez p. Thiriot, sceny marokańskie p. C. Raymonda, szkółka żydowska Brayera, portret znanego śpiewaka kabaretowego Chevalier przez Pietri'ego, silne w swej syntetycznej zuchwałości płótna Survage'a, Férat'a. Nutę humoru — na ponuro — wprowadza Esparbès, w karykaturze „Ulisses i syreny" — p. Noitou... Możnaby naliczyć jeszcze dwadzieścia, trzydzieści nazwisk — sprawy to nie zmieni. Bo salony i wystawy zbiorowe nie ilością zdolnych artystów mogą wywrzeć wrażenie, lecz duchem w nich panującym, intensywnością i rozmachem, świeżością poczynań i nowością bodaj częściową. Wszystko to rzeczy przebrzmiałe dawno wśród agonizujących starych Niezależnych.

Udział polski w tym salonie, jakkolwiek dość liczny, ustępuje walorem obsadzie naszej w innych salonach. Wszakże mamy tu do wskazania parę pierwszorzędnych płócien: znakomicie skonstruowany w surowych tonach akt P. *Januszewskiego;* ciekawe kompozycje portretowe, sharmonizowane w płaszczyznach i bryłach p. *Łempickiej,* doskonale ujęty w układzie i wyzyskaniu świateł sztucznych „Pokaz atletów na jarmarku" p. *Jarosza,* z werwą potężną podchwycona „Kąpiel rodziny artysty" w górskim stawku p. *K. Zieleniewskiego,* wytworny akt i kwiaty soczyste p. *Wielhorskiego.* Zanotujmy dar ewokacji ruchu i zmysł dekoracyjny p. *Chełmońskiej,* oryginalną wizję malarską p. Puciatyckiej, nieśmiałe a wdzięczne wyzwalanie swego kolorytu przez p. *Langermana,* egzotyczną fantazję p. *Hechta.* Mniej może dociągnięte od poprzednich kompozycje naszej rodaczki *F. Angiboult* (pseudonim) uderzają swym mocnym oryginalnym stylem. Piękne głowy i figury ceramiczne, powleczone barwną emalją p. *Miki Mikun,* wykwintnie zdobione parawany p. *G. Penzyny,* pociągająca swą prostotą ornamentyki witryna naczyń metalowych p. *Loewenstejnówny,* interesujące pomimo zamiłowania w potwornych tuszach rzeźby *Perelmana* — wyczerpują mniej więcej sumę najbardziej wartościowych prac polskich. Nie wyczerpują liczby uzdolnionych artystów, których pobieżnie tylko wspomnieć tu możemy, jak panie A. Hohermann, Szymberska, Decler, Chedel, Wróbel, Gorecką, Gai Stano, panów Koziebrodzkiego, Wejngarta, Olesiewicza, Wysockiego...

Edward Woroniecki

7 rue Henri Pape (XIII).



R. Jarosz *Popis atletów na jarmarku*



Dr. Kazimierz Świtalski, b. minister Wyznań Relig. i Oświecenia Publicznego stanął na czele gabinetu o „zdecydowanym kursie politycznym“



Sławomir Czerwiński, wiceminister, mianowany ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego

„Żywe słowo“

Dziesięć lat zaprawiamy się już na wiecach, w sądach, na katedrach, w Sejmie, Senacie do publicznych przemówień. Okazji jest teraz aż za wiele do posługiwania się żywem słowem. A jednak nie mamy mówców w młodszem pokoleniu o polocie St. Tarnowskiego, o dostojeństwie Br. Dembińskiego, o perfekcji Ignacego Daszyńskiego.

Mówiło się przed wojną i to się u nas utarło, że powodem najważniejszym braku dobrych mówców są opłakane warunki polityczne. Teraz wszystko się zmieniło. Droga jest wolna. Jeszcze z kazalnicy pada słowo biskupa Teodorowicza czy Bandurskiego — naogół jednak — mównictwo nasze obraca się w ramach rozwlekłej gadatliwości lub nędznej, jałowej recytacji. Nie należy wspor... może, że często styl niektórych

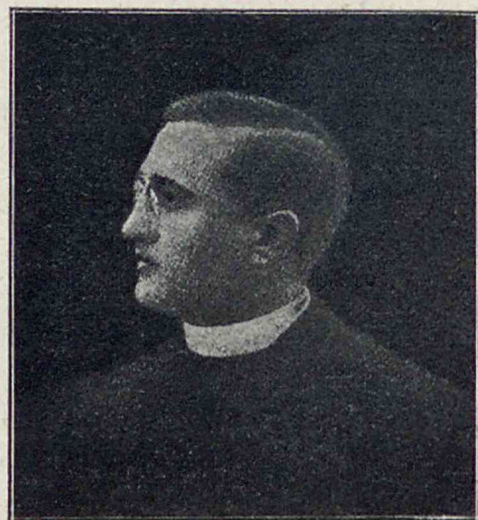
pr... chc... z c... lep... Sz... do... pr...

Pribiczewiczem, byłym ministrem, przywódcą niezależnych demokratów i opozycyjnej koalicji zagrzebskiej. Potem p. Pribiczewiczowi odpowiadali jego przeciwnicy, a on znów im odpowiadał. Rzadko kiedy zdarzało się, aby atak, czy odpowiedź nie obejmowały przynajmniej jednej kolumny druku. Proszę sobie wyobrazić przerażenie dziennikarza, który ma przed sobą przy ...nej kawie tę lawinę wywiadów i ...k i stara się przebrnąć przez ...iarę możności. Publiczność belgradzka jednak jest innego zdania i pochłaniała to wszystko z niesłabnącą ciekawością w kawiarniach, szynkach, na schodach, gdziekolwiek się dało. Od czasu do czasu wybuchał po ulicach straszliwy wrzask kolporterów: „Politika!“, „Novosti!“, „Prawda!“, „Vreme!“. Ludzie wyrywali sobie z rąk bibułę. Szofer, który mnie wiózł autem - inwalidą po straszliwym bruku bocznej ulicy, odwracał się co chwila, narażając nas obu na karambol, byle tylko podzielić się ze mną opinją swoją o ostatniem oświadczeniu ks. Koroszeca.

Serbowie są narodem namiętnie politykującym, politycznym i politykierskim. Z tego względu trudno im przychodzi znosić dyktaturę, a przedewszystkiem cenzurę. „Jakto, w gazetach nie będzie wywiadów, polemik, rewelacyj? Nie, z tem niełatwo się pogodzić“. Politycy chorwaccy mówili mi w Zagrzebiu: „Zobaczy pan, Serbom pierwszym sprzykrzy się dyktatura. Nie wytrzymają“.

W Belgradzie przed przewrotem chodziłem do Skupczyny, dziś zamkniętej. Gmach niebardzo okazały. Dawna stajnia. Urządzenia również nie są zbvt imponujące. Woźni w czarnych czapach futrzanych, dosyć obdarci, korytarze przypominają biuro prowincjonalne licho urządzone. Bufet parlamentarny uzyskałby w Warszawie tytuł restauracji trzeciego stopnia. Rzesze interesantów po korytarzach, a między nimi żandarmi, pilnujący porządku.

Po frekwencji interesantów przed poszczególnemi klubami poselskiemi można ocenić znaczenie i wpływy danego stronnictwa. Ścisk największy panuje przed klubem radykałów, którzy są przedstawicielami idei centralizmu i hegemonji serbskiej w państwie. „Serb każdy jest i powinien być radykałem“ — oto maksyma, która obowiązuje je-



Dr. A. Korosec, minister, prezes Słowiańskiej partji



Zagrzeb



Split

szcze w niejednej wsi i w niejednem miasteczku na obszarach dawnego królestwa serbskiego. Ojciec był radykałem, syn będzie nim również. Inne stronnictwa, jak demokraci, niezależni demokraci, agrarjusze, są świeższego pokolenia, nie mają tych tradycyj. Inna rzecz, że i politycy radykalni młodsi i energiczniejsi skarżą się na zaskorupiałość partji, na walkę klik w jej łonie. W Belgradzie, gdzie prasa jest rozwinięta i poczytna, główny organ radykalny, znana „Samouprava" ukazywała się na czterech stronach, drukowała się na płaskiej maszynie, a nastrój w redakcji był dobrotliwie staroświecki i flegmatycznie prowincjonalny. Po wprowadzeniu dyktatury zresztą zarówno „Samouprava", jak i demokratyczny „Odjek" przestały wychodzić.

Ścisk więc przed klubem radykalnym. Chłopi w butach i czapach wysokich, brodaty pop, a przed nimi woźny klubowy, w koszuli rozpiętej, bez kołnierzyka, rozkłada ręce, tłumaczy: „Niema miejsca, niema czasu". Lecz energicznym krokiem podchodzi ku nam niski, młodo wyglądający człowiek. Jest to dr. Łazarz Markovicz, były minister, jeden z najbardziej wpływowych wtedy radykalnych polityków. Prowadzi nas do pokoju ministerjalnego. Rozmawiamy. W oświadczeniach p. Markovicza niema nic nieokreślonego, ani dwuznacznego. „Centralizm polityczny? Tak. Od tego nie odstąpimy. Mogą być pewne ustępstwa w dziedzinie administracji. Ugodę z Chorwatami będziemy przeprowadzali my radykali, bo my jedynie mamy autorytet w społeczeństwie serbskiem, które nie uzna ugody, zawartej przez inną partję. Ale czy będziemy ją zawierali z obecnymi politykami chorwackimi, to jeszcze pytanie. Według mnie, nie reprezentują oni społeczeństwa chorwackiego. Na ich miejsce mogą przyjść inni i z tymi byśmy się porozumieli".

W klubie demokratycznym, tym, który wywołał przesilenie i dąży do ugody z Chorwatami, jest bardziej przestronnie. W pokoju prezydjum odbywają się ciągłe konferencje. Ludzie wchodzą i wychodzą. Przez drzwi uchylone widać chłopa serbskiego w butach, o bardzo inteligentnym wyglądzie, widocznie jednego z członków zarządu. Znany przywódca demokratyczny i były minister, p. Lubomir Davidowicz, uprzejmy i poczciwy tatuś, siwy i wąsaty, przyjmuje nas ze staroświecką a równocześnie dyplomatyczną i rutynowaną kurtuazją. W nieco wysilonej i mozolnej francuszczyźnie mówi nam o pojednawczej polityce demokratów i o pośredniczącej ich roli. Ugoda z Chorwatami jest konieczna. Wszystko będzie dobrze. Drzwi zaczynają się otwierać i zamykać. Czas leadera demokratycznego jest zajęty. Żegnamy się.

W urządzeniu klubu frakcyjnego zaznacza się charakter stronnictwa. Przez uchylone drzwi widać w lokalu muzułmanów bośniackich, fotele wygodne, obrazy, dywany. W pokoju niema nikogo. Lokatorzy, przeważnie bogaci właściciele ziemscy, ludzie ostrożni i powściągliwi, pojechali widać do domu.



Sv. Pribiczewicz, minister, prezes niezawisłych demokratów

W lokalu katolików słoweńskich, których przywódcą jest ostatni premjer parlamentarny a obecny minister komunikacji w rządzie dyktatorskim, ks. Koroszec, atmosfera jest uprzejma, ogrzana, ostrożna. Nastrój i zapach, można powiedzieć, klerykalny. Taktyka i metody partji katolickich w wielu krajach bywają analogiczne. Jest to polityka ostrożna, oportunistyczna, wystrzegająca się jaskrawych gestów i głośnych słów. Siwy pan, o szczupłej, uduchowionej i bardzo inteligentnej głowie — jest to poseł, ks. Franciszek Smodej, prawa ręka ks. Koroszeca — tłumaczy mi w sposób cichy, płynny i łagodny, że Słoweńcy wolą się trzymać radykałów serbskich, jako stronnictwa silnego i dającego największe gwarancje dotrzymania danych obietnic. Politycy chorwaccy to fantaści, ludzie nierealni. „My — mówi ks. Smodej — nie występujemy z własnemi projektami rozwiązania sporu. Czekamy, z czem wystąpią inni, i wtedy zajmiemy stanowisko".

Przed pokojem klubowym agrarjuszy serbskich niema nikogo. Otwierają się drzwi i wychodzi sam przywódca partji, p. Jovan Jovanovicz, były poseł jugosłowiański w Londynie, siwy, gładko uczesany, w staroświeckim kołnierzyku, strojem i zachowaniem się przypominający radcę austrjackiego z czasów nieboszczki monarchji. Prosi do siebie na jutro. Jedzie się tam wybojstemi ulicami w dół, ku Dunajowi. Ulica Jovanova, przy której stoi pięknie urządzona willa pana ministra, obok niej garaż i reprezentacyjne auto—jest arystokratką mię-

dzy swemi sąsiadkami, wyłożono ją bowiem nienagannych, gładkim asfaltem. P. minister Jovanovicz w słowach gładkich i dyplomatycznych określa charakter swojej partji i jej rolę również pośredniczącą (trzeba dodać, że stronnictwo to przy ostatnich wyborach straciło niemal 2/3 swoich mandatów). Potem z widoczną predylekcją przenosi się na teren polityki zagranicznej, mówi o wzrastającym w Jugosławji wpływie Niemców. Nie jest pod tym względem odosobniony; to



Dr. Lazar Markowic, b. minister, przywódca radykałów serbskich

samo słyszałem w Zagrzebiu. Turyści niemieccy pod względem liczebności stoją na pierwszem miejscu; z pośród języków obcych język niemiecki jest najbardziej rozpowszechniony.

— Gdy 6 stycznia przechadzałem się w Serajewie po korsie, którem jest ulica Króla Piotra, kolporterzy poczęli wywoływać dodatki nadzwyczajne. Manifest królewski, zniesienie konstytucji, dyktatura. Ludzie kupowali dodatki, czytali je, rozmawiali, nie podnosząc głosu, przechadzali się dalej. Historja — uprzejma, czy też niegrzeczna — w moich oczach odwróciła karty swojej księgi. Czy na karcie odłożonej znajdują się może moje rozmowy i wrażenia polityczne belgradzkie? Nie, gdyż mimo zakazów i edyktów, rozwiązujących je, partje w Jugosławji będą nadal istniały, gdyż społeczeństwo zbyt żywo zajmuje się polityką, a któż zresztą może zakazać chłopu na wsi omawiać zagadnienia bieżące z sąsiadami?

W kilka tygodni potem jestem w Zagrzebiu już pod dyktatorskiemi rządami. Rano do pokoju hotelowego zgłasza się do mnie agent policji i prosi do pana wielkiego żupana. Tam bardzo uprzejmie pytają mnie o personalja. Udzielam ich i pytam: „Na co to?". „Zdarzało się, brzmi odpowiedź, że dziennikarze obcy fałszywie informowali o stosunkach jugosłowiańskich". „Ale cóż możecie zrobić dziennikarzowi, który wrócił do swego kraju i może tam pisać, co mu się żywnie podoba?". — „Nie damy mu po raz drugi wizy".

W hallu olbrzymiego hotelu zagrzebskiego „Esplanade" interesują się mną w sposób widoczny jacyś obcy ludzie. Agenci. A obok nich paru młodych energicznych ludzi. To gwardja przyboczna p. Svetozara Pribiczevicza, który mieszka w tym hotelu.

Sekretarz jego prowadzi mnie do niego. Były minister spraw wewnętrznych jest człowiekiem niskim, o czarnych płonących oczach i mocnych szczękach. Zrazu na początku rozmowy przysłania oczy ręką. Potem zaczyna mówić urywanemi słowami i sylabami, jąkając się. Wreszcie ręce opadają, głowa się podnosi, wybuch gwałtownego temperamentu. Pribiczevicz słowami atakuje, uderza, naciera. Jest zwolennikiem demokracji i parlamentaryzmu.

Jednostka pozbawiona tego ustroju czuje się źle. Eksperymenty niezawsze prowadzą do celu. A potem, po wybuchu, twarz mego rozmówcy łagodnieje, oczy stają się łagodne, jakgdyby przepraszały za gwałtowność. Pyta o stosunki polskie, mówi o bracie swoim Adamie Pribiczeviczu, wielkim przyjacielu Polaków, zwolenniku niepodległości polskiej jeszcze w latach przedwojennych.

Dom, schody, poczekalnia i mieszkanie dr. Włodzimierza Maczka, przywódcy chorwackiego stronnictwa włościańskiego, po zgonie



Stefana Radicza, wszystko to mogłoby się mieścić w niewielkiem mieście prowincjonalnem, stanowić części składowe miejsca pobytu adwokata prowincjonalnego, który osiągnął jaki taki dobrobyt. „Co się takiego stało, że tylu tu panów dziennikarzy przychodzi?" — śmieje się dobrodusznie koncypient dra Maczka. „Trudno, odpowiadam, — historja".

W prowincjonalnym salonie, do którego stylu nie przywiązywano widać większego znaczenia, przyj-



Dr. Włodzimierz Maczek, przywódca chorwackiej partji włościańskiej

muje mnie mały, krępy, łysawy człowiek w okularach, za któremi kryją się jasne, poczciwe oczy. Jest to przywódca chorwacki, którego imię widnieje na szpaltach pism całego niemal świata. Siada na fotelu, poczyna kręcić papierosa, oczy podnosi do góry, zaczyna mówić, zaczynając zdaleka, od historji, po doktrynersku. Ani razu słowo „ja" nie wyszło z jego ust. Ten przywódca zdaje się nie mieć osobistych ambicyj. Gdy Svetozar Pribiczevicz pełen jest siebie i wciąż burzy się i zjada wewnętrznie, dr. Maczek jest spokojny, fatalistyczny. Czeka. Słuszność jest po naszej stronie, sytuacja musi się rozwikłać na naszą korzyść. Dr. Maczek czeka. Pribiczevicz miota się psychicznie za kratami dyktatorskiego ustroju. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast nad ten, który zachodzi między obu przywódcami koalicji włościańsko - demokratycznej.

— A teraz dziękuję ci, historjo, za to, coś dla mnie uczyniła. A innym razem opowiem o równie uprzejmej przyrodzie, która dla mnie pokryła śniegiem liście palm w Dubrowniku.

Włodzimierz Jampolski

POLSKA ŁÓDŹ PODWODNA „WILK", SPUSZCZONA W HAWRZE



Uroczystości spuszczenia polskiej łodzi podwodnej „Wilk" przyglądają się: od prawej ku lewej: Generał Charpy — przybyły na tę uroczystość z Rouen, Szef Komisji Nadzorczej nad budową okrętów polskich we Francji, Komandor Inżynier Czernicki, małżonka jego, Paweł Kleczkowski — korespondent Pata, P. Ambasadorowa Chłapowska, Radca Ambasady — pułkownik Schaetzel, P. Ambasador Chłapowski, Komandor Świrski — Szef Marynarki Wojennej, Konsul Gen. Poznański, Pułkownik Błeszyński i inni. Fot. S. Londyński



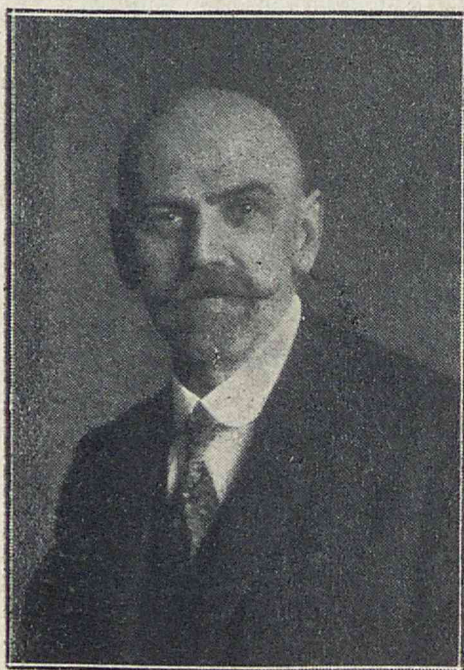
Wzruszająca chwila: „Wilk" puścił swoje śruby w ruch

Bibljoteka Narodowa i jej prace

Zdala od wszelkiego rozgwaru politycznego odbywają się prace przygotowawcze do otwarcia wielkiej, państwowej Bibljoteki Narodowej, powołanej do życia dekretem p. Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 24 lutego 1928 r. Sprawa okazała się jedną z najpilniejszych zaraz nazajutrz po odyskaniu niepodległości. Już w r. 1919 utworzono w Ministerstwie W. R. i O. P. specjalny „Wydział bibliotek", którego kierownictwo powierzono znakomitemu specjaliście przedmiotu, p. Stefanowi Dembemu. Z olbrzymim zapałem i poświęceniem gromadzi on od lat dziesięciu materjały podstawowe dla przyszłej Bibljoteki Narodowej. Dzięki niestrudzonej, cichej ale planowo obmyślanej pracy tego zasłużonego działacza, wielka instytucja narodowa będzie mogła, zaraz po swem otwarciu, stanąć w rzędzie najzasobniejszych bibljotek w Europie. P. S. Demby kieruje już rejestracją katalogową zbiorów, wynoszących około 500.000 tomów.

Skądże się wzięła kolekcja tak olbrzymia? Powstała z trzech źródeł: zakupy, dary i zwroty zagrabionych przez Rosję zbiorów. Śród tych nabytków największe pozycje stanowią: 1) biblioteka z Rapperswylu (około 70.000 tomów); 2) dzieła obce, wybrane z Bibl. Polskiej w Paryżu i ofiarowane przez Akademję Umiejętności (20.000 tomów); 3) 14.000 rękopisów z Biblioteki Załuskich, zwróconych przez rząd sowiecki; 4) zbiory Seweryna Smolikowskiego (35.000 tomów dzieł z zakresu filozofji i sztuki); 5) biblioteka d-ra J. Korzeniowskiego (8.000 tomów); 6) bezcenne zbiory po J. I. Kraszewskim od XVI do XIX w. (autografy, rękopisy, mapy, 11.000 sztychów, korespondencja etc.); 7) biblioteka po Kazimierzu Chłędowskim (3000 tomów); 8) bibljoteka Ponińskich z Horynia (5000 tomów); 9) bibljoteki: Lelewela, Batignolska, Wersalska, Tow. Demokratycznego (złożone w Kórniku do czasu odzyskania niepodległości); 9) bibljoteka po doktorze J. Lipskim, bibljotekarzu Czartoryskich (3000 tomów); 10) bibljoteka nabyta po T. Przesmyckim (2000 tomów); 11) archiwa rodzinne Mariconich; 12) zbiór autografów królewskich; 13) zbiór dokumentów do dziejów powstania 1863 r. itd. S. Demby zdołał również zebrać bardzo ładną kolekcję autografów naszych wybitnych pisarzy.

Oczywiście, Bibljoteka Narodowa nie może liczyć na dary, zapisy i depozyty. Musi mieć swój własny i to dość znaczny budżet. Sprawy tej rządy nasze i ciała prawodawcze jeszcze sobie nie uprzytomniły należycie. Ostatni minister Oświecenia, śród wielu swoich wątpliwych reform, wprowadził jedną, która zwiąże jego nazwisko z dziejami bibljotek naszych w sposób mniej dla niego pochlebny: oto postanowił „Wydział bibljotek" zdegradować do poziomu „referatu". Taka meskinerja ministra Oświecenia fatalnie świadczy o kulturalnym poziomie epoki. Odbija się również na budżecie przyszłej Bibljoteki Narodowej. Zrazu ten budżet przewidywał na wszystkie wydatki wydziału bibljotecznego sumy śmiesznie małe: w r. 1923 — 18.750 zł., w r. 1924 — 48.690 zł. Powoli zdołano wywalczyć sumy nieco większe: w r. 1917/28 — 190.000 zł. a w 1928/29 — 205.000 złotych.



Stefan Demby, organizator Bibljoteki Narodowej i Urzędowego Wykazu Druków.

Przy takich zasobach niepodobna marzyć o dość szybkiem uzupełnianiu Bibljoteki Narodowej, godnej trzydziestomiljonowego narodu. Miejmy nadzieję, że Sejm zajmie się sprawą w sposób właściwy, gdy stanie wobec konieczności uchwalenia funduszu na budowę gmachu Bibljoteki. Na razie na ten cel przekazał rząd majątek Skarbu Narodowego, wynoszący około 2 miljonów złotych, czyli część zaledwie sumy, niezbędnej dla urzeczywistnienia planu p. Stefana Dembego. Pragnie on wyposażyć Bibljotekę Narodową w salę pracy dla 800 osób, salę zorganizowaną tak, aby czytelnik mógł żądaną książkę otrzymać w ciągu minuty.

W każdym razie, mamy już dziś pewność, że przyszła Bibljoteka Narodowa stanie odrazu, pod kierownictwem p. S. Dembego, na wysokim poziomie naukowej organizacji.

Donosiliśmy już w „Świecie", że dekret p. Prezydenta Rzeczypospolitej o ufundowaniu Bibljoteki Narodowej przewidywał również założenie w jej gmachu pracowni pt. „Instytut Bibljograficzny". W pracowni tej spisano już i rozklasyfikowano około 900.000 tytułów dzieł polskich, a ogrom tej niesłychanie ważnej pracy zrozumie każdy, co się raz dotknął bibljograficznych zagadnień. Obecnie p. S. Demby począł realizować wydawnictwo perjodyczne, którego oczekiwaliśmy oddawna wszyscy. Jest to „Urzędowy wykaz druków", wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej oraz druków polskich lub Polski dotyczących, wydanych zagranicą. Sprawa systematycznej rejestracji druków jest jedną z najupartszych bolączek naszej kultury. Czasopisma bibljograficzne powstają i giną bardzo szybko. Bibljografję druków od r. 1901 do 1925 (tj. od daty, na której stanął Estrejcher) szykuje od kilku lat p. J. Muszkowski, dyrektor Bibl. Krasińskich. Ale daleko jeszcze do końca tej ważnej pracy. Tymczasem uczuwaliśmy brak bieżącej, stałej, naukowo zestawionej bibljografji. Brak ten zaspakaja p. Demby swym wzorowym, co tydzień wydawanym „Urzędowym wykazem druków".

Wydawnictwo prowadzone jest według „Zasad katalogowania w Bibljotece Uniwersyteckiej w Warszawie", które to zasady opracowali naukowo nasi czołowi bibljotekarze. Wykaz urzędowy uwzględnia druki od początku 1928 roku, którego pierwsze półrocze już wydano, a drugie ma wyjść niebawem, opatrzone skorowidzem. Ośmielimy się podsunąć czujności p. Dembego lukę, jaka się wytworzy po ogłoszeniu bibljografji p. Muszkowskiego: znowu braknie nam porządnego opracowania bibljografji z lat 1926 i 1927. Czyby „Instytut Bibljograficzny" nie mógł odrazu luki tej uzupełnić?

„Urzędowy wykaz druków" wychodzi od stycznia r. b. co tydzień. Daje natychmiastowy opis *wszystkich* druków, które wpłynęły do Ministerstwa W. R. i O. P. na skutek rozporządzenia z dn. 4 lipca 1927 r. Nadto „Wykaz" rejestruje wszystkie *polonica* zagraniczne. Nowość

„Europa“, 46.000-tonnowy okręt pasażerski, został podpalony przez niewykrytych sprawców w porcie w Hamburgu. Okręt ten był blisko wykończenia i miał rozpocząć podróże transatlantyckie już w letnim sezonie

i powagę wydawnictwa stanowi fakt, iż wszystkie opisy bibljograficzne sporządzone zostały na zasadzie z b a d a n i a s a m y c h d r u k ó w. Pragnąc bibljotekom ułatwić katalogowanie, „Urzędowy wykaz druków“ odbijany bywa również i po jednej stronie, aby można było wycinać poszczególne tytuły dzieł i używać ich w bibljotekach, jako gotowych pozycyj katalogowych.

Dzięki więc niezwykłej pracowitości, kompetencji i zapałowi organizacyjnemu p. Stefana Dembego, posiadamy już podstawy wielkiego warsztatu naukowego, którego rozwojem zająć się muszą corychlej: rząd i Sejm. Naturę i wielkość zasługi p. Dembego zrozumiemy wszyscy należycie, gdy zasiądziemy po raz pierwszy do pracy w wielkiej sali Bibljoteki Narodowej.

J. L.

Walka z oszczerstwem we Francji

Do francuskiej Izby Deputowanych wniesiony został projekt nowego prawa przeciw oszczerstwom i potwarzom w druku. Dotychczasowe klauzule — zarówno we Francji, jak w Polsce — okazały się niewystarczające. Nowe, obostrzone prawo nie ma być przecież wymierzone przeciw wolności drukowanego słowa. Przeciw swawoli w druku. Jeśli prawo broni obywatela od zamachów na jego własność i bezpieczeństwo, tembardziej powinno go bronić od zamachów na jego honor.

Nowością w obecnym projekcie prawa francuskiego jest znaczne rozszerzenie granic akcji cywilnej. W tej mierze przykład Anglji jest godny naśladowania. Tam kara za oszczerstwo uderza w najdotkliwsze miejsce nowoczesnego obywatela: w jego kieszeń. Za potwarz i zniewagę w druku odpowiedzialny jest nietylko autor i redaktor czasopisma, ale również i jego właściciele. W tych warunkach jest komu dobrać się do skóry. Gdy odszkodowania sięgają sum bardzo wysokich, Giboyer — który mniej obawiał się aresztu — zawaha się przed upustem jadowitej złośliwości. Zatrzymają go zresztą w zapędzie redaktor i wydawca, w obawie o swoją kasę.

Przewód sądowy w sprawach o zniesławienie ma być w nowem prawie francuskiem znacznie uproszczony i przyspieszony. Jest to rzecz niezmiernej wagi. Jeśli tak zwane sprawy honorowe muszą być rozstrzygane w ciągu 24 godzin, jakąż satysfakcję mógł dać zniesławionemu wyrok sądowy, przychodzący po wielu miesiącach, a czasem — u nas prawie zawsze — po paru latach?

Reakcja sprawiedliwości w tego rodzaju sprawach winna być niezwłoczna, natychmiastowa, — aby nie dopuścić do kształtowania się fałszywej opinji na zasadzie opublikowanych oszczerstw.

W projekcie nowego prawa francuskiego niema atoli wzmianki, czy rozprawy sądowe w tego rodzaju procesach będą odbywać się przy drzwiach zamkniętych, czy też będą jawne. Zaś to właśnie jest rzeczą bardzo ważną. Jawność obrad daje bowiem oszczercy możność dalszego kontynuowania i rozwlekania swoich potwarzy, — staje się dla człowieka, broniącego swej czci, istną drogą krzyżową...

W brukowej prasie paryskiej zapowiedź nowego prawa wywołała łatwo zrozumiałe zaniepokojenie. Różne pisemka, żyjące z ataków na osoby prywatne i z szantażów, czują się zagrożone w swem istnieniu. Więc zarządzają ankiety, drą się wniebogłosy, że wolność drukowanego słowa jest w niebezpieczeństwie. Tej wolności nie chce jednak ani p. Poincaré, ani nikt inny we Francji uczynić najmniejszej ujmy. Rozwój dziennikarstwa potrzebuje zupełnej wolności. Ale honorowi dziennikarstwa zagraża bezkarność swawoli.

k.



PIERWSZE RENDEZ-VOUS

III.

Bardzo kocham aktorów. Wprawdzie wiem, że nie bez przyczyny chowano ich niegdyś na niepoświęconej ziemi, chcę jednak wierzyć, że działo się to jedynie z winy ich dyrektorów, każdy bowiem, który zna osobiście chociaż jednego dyrektora prowincjonalnego teatru, może przyjąć to tłumaczenie z czystem sumieniem za wiarogodne. Bo i cóż taki amant albo charakterystyczny może zrobić komu złego, jeżeli ma dobrego dyrektora, który gaże płaci regularnie i nie ma awersji do zaliczek? Najwyżej może się spóźnić na próbę, albo przyjść na przedstawienie, będąc cokolwiek w czwartym wymiarze. Są to jednak drobnostki, o których nie warto mówić. Ważniejsze jest to, że zarówno amant, jak i czarny charakter, choćby nawet z pierwszego wejrzenia podobny był do Justjana, serce ma ze szczerego złota, a jeżeli ulega jakiejś zgubnej namiętności, to chyba do robienia długów, z czego jasno wynika, że nie można być zupełnie pewnym, zali pierwsza rozmowa ze świętym Piotrem nie zacznie się od słów:

— Mam wybraną gażę do pierwszego. Pożycz mi, święty Piotrze, sto złotych, albo nie wejdę do raju.

Pozatem myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że otaczający nas świat jest taksamo widziany przed rampą, jak poza rampą. Dla zwykłych śmiertelników ludzie dzielą się, jak wiadomo, na bardzo zróżniczkowane indywidualności, podczas gdy dla aktorów tylko na dwa zasadnicze rodzaje. Do pierwszego należy sama śmietana. Lud wybrany, niby Izraelici ze Starego Testamentu — co to z Jehową żyli sobie na stopie serdecznej zażyłości, a wszystkie ludy mieli za hołotę. To są właśnie oni: artyści dramatyczni, zorganizowani, zarejestrowani i zasłużeni! Natomiast do drugiego, godnego pożałowania rodzaju, należy pozostała reszta ludzkości, czyli „ludzie z miasta". Tacy jednak „ludzie z miasta", jeżeli chcą odzyskać na trzy godziny swoje utracone człowieczeństwo, mogą to uczynić bardzo łatwo, kupiwszy sobie w kasie bilet na przedstawienie. Wtedy stają się najdroższą publicznością i mają prawo do miłości aktora, o ile naturalnie będą bili oklaski, tarzali się ze śmiechu do kolek i płakali, jak bobry, w scenach tragicznych. Inaczej: Precz z moich oczu!

Jeżeli jednak jest coś niebardzo jasnego w tej ostatecznej klasyfikacji, to niezbyt pewne miejsce, jakie w świecie pozarampowym zajmuje właśnie autor, ten, który z duszą kapłanką mając rozkoszne sam na sam, przynosi skromny owoc swej gorącej miłości, wstępując w świat ufarbowanych twarzy, elektrycznych słońc i malowanych kwiatów! Bo kim-że jest ten stwór dziwaczny, który nie jest ani aktorem, ani człowiekiem z miasta? Niby pracuje dla teatru, ale nie jest w teatrze, niby się zna na sztuce dramatycznej, ale jeszcze żaden aktor na świecie nie słyszał, aby powiedział w tej materji coś mądrego. Właściwie najlepiej by było, gdyby każdy taki autor miał tyle taktu, aby swą sztukę przysyłać przez posłańca i nie pokazywać się wcale na próbach, gdzie jego obecność jest zupełnie taksamo potrzebna, jak dziura w moście, albo i sam most, po którym tylko ten chłop jeździ, który jest tak pijany, że nie widzi wygodnej i bezpiecznej drogi, wyjeżdżonej obok. W każdym razie autor nie powinien nigdy zapominać o tem, że istnieje tylko dzięki temu, że ktoś u licha musi taką sztuczkę spłodzić, inaczej aktorzy nie mogliby pracować w swoim zawodzie i świetna tradycja sceny narodowej mogłaby być niejako z tego powodu narażona na niebezpieczeństwo. Był wprawdzie niegdyś we Włoszech przepiękny okres rozkwitu komedji, tak zwanej del arte, kiedy to aktor jeden z drugim plótł trochę na temat zadany, ale więcej co mu ślina do gęby przyniosła, a publiczność waliła do teatru, co wlazło, chociaż czasami to i aktora po teatrze również niezgorzej, ale to był czas dla wielu aktorów młodszego pokolenia najwyższych Monsalwatów komedji, którą z miłości do sztuki pragną gorąco wskrzesić i u nas, zwłaszcza na piętnastem lub dwudziestem przedstawieniu, odgrywając nieznośnie krępujący „tekst" współczesnego dramaturga.

Cóż jednak poradzić na to, skoro każdy autor, napisawszy komedję, pełen jeszcze słodkiej wibracji w sercu i różowych nadziei na przyszłość, pragnie asystować przy czytaniu swej sztuki, marząc w skrytości ducha o wstrząsającem wrażeniu, jakiego doznają szlachetni współtwórcy, najbliżsi autorskiemu sercu aktorzy, na tem pierwszem rendez - vous z jego komedją. Jest to jego prawo, które jednak wielu aktorom wydaje się już cokolwiek przestarzałe, nieprzymierzając jak jus primae noctis — albo jeszcze coś gorszego. Ostatecznie jednak co mają na to poradzić? Skoro już istnieje taki prąd w społeczeństwie, że się w polskich teatrach gra polskie sztuki i nawet dyrektorzy subwencjonowanych teatrów ulegają tej modzie, to trudno. Ale poco zaraz takiemu autorowi ma się zdawać, że bez niego nie można się obejść?... Czy Szekspir bywa na próbach? Nie bywa. A jednak grają mu Hamleta w smokingu, a Poloniusza w szlafroku i publiczność bawi się doskonale! Nie trzeba przesadzać!

Ale oto nadeszła godzina pierwszej próby. Wszyscy siadają przy stole, ustawionym w garderobie lub na foyer — i zaczyna się czytanie sztuki. Reżyser otwiera egzemplarz i powoli, dobitnie odczytuje personae dramatis. Autor zataja oddech w piersiach i, co tu obwijać w bawełnę, serce mu bije, jak dzwon. Oto w ciszy i skupieniu spełnia się pierwszy akt tego tajemniczego misterjum, jakiem jest wyczarowanie z zimnych kartek egzemplarza, zadrukowanego drobnem, maszynowem pismem, — żywego człowieka. Bo, chwila, w której czarująca artystka swym harfianym głosem wysylabizuje z trudem: „Ty wierzysz, że cię kocham?..." — jest chwilą narodzin podstępnej a czarującej kokietki Elwiry, która pomnaża ludzkość o jeszcze jedną egzystencję.

Jej kochanek odpowiada niezwłocznie, puszczając nosem i ustami olbrzymi kłąb dymu z papierosa.

— Więc się myliłem! Ty mnie nie kochasz! Cha! cha! cha!"

W tem miejscu następuje niepokojąca pauza. Pierwszy amant i bohater zamyśla się głęboko. Autora przechodzi dreszcz wzruszenia. Szykuje się do odparcia pierwszego ataku zwątpienia. Któż bowiem lepiej od niego może znać pewną słabą stronę komedji? Oto Elwira kocha się nie tak gorąco, jakby należało. Autor chciałby naturalnie, aby od jednego jej słowa, podyktowanego miłością, kochanek zamienił się w popiół. Ale jej miłość musi być miłością ukrytą głęboko, wrzącą, gorącą, płonącą, podczas gdy słowa są konwencjonalne, chłodne, wyrachowane, dystyngowane. Ubóstwia go, ale go odpycha

od siebie. Pragnie, ale lekceważy, pożąda, lecz szydzi, słowem „kobieta — la femme", co tu gadać! Tymczasem *on*, jako zwyczajny łajdak i mężczyzna od urodzenia, chce ją zmusić do wyznania miłości i to bez żadnego takiego: „Ależ mój panie! Czy ja pana kocham? Owszem. Może... i t. p." poprostu w cztery oczy: „Tak, albo nie! Wszakże miał dowód wczoraj, kiedy po dancingu poszli en deux na kolację i ona, idąc za pierwszym popędem serca, uczyniła mu niezwykle drażliwą propozycję, aby jej kupił mieszkanie, złożone z pięciu umeblowanych pokojów. Na co on uśmiechnął się tylko, jak człowiek zaskoczony niespodziewanem szczęściem, i zamilkł.

Właśnie teraz kochanek czarującej Elwiry zamyślił się, nie wiedząc dokładnie, w jakim zakątku duszy kobiecej leży ta wielka miłość, podczas kiedy autor szykował się do subtelnej analizy jej charakteru, pragnąc mu wytłumaczyć to, czego ani on, ani nikt nie wie. I oto w tej chwili rozlega się niecierpliwy głos reżysera:

— Jedźmy dalej! Niema się nad czem zastanawiać. Przecież to jasne.

— Naturalnie! — potwierdza skwapliwie młoda aktorka, która rok temu wyszła zamąż z miłości i cały czas, dla zabicia nudów, haftowała czerwoną włóczką bardzo piękne róże na żółtej kanwie. Była to, jak z tego wynika, osoba niezwykle pracowita, chociaż dla sprawiedliwości należy dodać, że gdyby nie ochronki, przytułki dla staruszek i czytane próby, piękny zwyczaj robienia szydełkiem i wyszywania na kanwie pantofli jużby w Polsce zaginął zupełnie. Jedynie autorzy dramatyczni przez pisanie swych komedji podtrzymują tę piękną tradycję, pozwalając artystkom kontynuować na próbach szlachetne zamiłowanie prababek.

Stefan Kiedrzyński

(D. N.)



SZTUKA DYPLOMACJI

Sztuka dyplomatyczna nie cieszy się naogół szacunkiem. O posłach zagranicznych powiedziano różnemi czasy wiele złośliwych uwag. Sami ambasadorowie niekiedy odzywali się o swoim zawodzie lekceważąco. Sir Henry Wotton, znany dyplomata angielski XVII wieku, napisał: „(ambasador) jest to uczciwy człowiek, którego wysłano zagranicę, by tam kłamał dla dobra kraju".

Nie należy brać tego oświadczenia zbyt dosłownie, choć minęły już dwa wieki. Od dyplomaty wymaga się wielu innych talentów. Są to przedewszystkiem uzdolnienia życiowe, specyficzny rodzaj inteligencji, nie dający się zastąpić wiedzą, zasługą ani koligacjami. Historja zna kilka wybitnych talentów niewieścich w dyplomacji. Polska gościła kobietę - ambasadora za panowania Władysława IV. Była nią marszałkowa de Guérbiant. Odprowadzała ona Marję Gonzagę, nowozaślubioną małżonkę Władysława IV i otrzymała od kardynała Mazarin pełnomocnictwa dyplomatyczne. Jakiego rodzaju były to zlecenia, zanotowała niedyskretna kronika. Marszałkowa miała skłonić króla do urzeczywistnienia zawartego małżeństwa. Nie przyszło to łatwo. Marja Gonzaga oczekiwała przez cztery tygodnie na wizytę w sypialni swego królewskiego małżonka. Pani de Guérbiant dokazała tej sztuki, bo... oryginał był znacznie gorszy od portretu, który przysłano królowi i który spowodował to małżeństwo.

Były też inne względy. Marja Gonzaga na dworze francuskim słynęła z kilku jaskrawych romansów. Polski król nie otrzymał spodziewanej żony w przepisowej obyczajowością formie. P. de Guérbiant miała więc zadanie nielada. Zwyciężyła... Było to... arcydzieło sztuki dyplomatycznej.

Nieraz zastanawiano się, co jest istotą umiejętności prowadzenia układów. Pisano w tej materji liczne książki. W Polsce o dyplomacie i dyplomacji również myślano szczególnie u schyłku dawnej Rzplitej. Obecnie mamy szczegółowe przepisy egzaminacyjne, wymagające niemal encyklopedycznej wiedzy. Młodzi dyplomaci przechodzą przez komisje o uprawnieniach egzaminacyjnych niezwykłych, pamięciowo popisowych...

Nie zastąpi wszystkich tych kwalifikacji zdolność przyrodzona. Do Ministerstwa Spraw Zagranicznych winni wstępować tylko ludzie o specyficznych tych uzdolnieniach. Wiedziano już o tem od dawien dawna. Wystarczy przeczytać rozprawę Fr. de Callières'a, b. ambasadora francuskiego w Polsce, przyjaciela podskarbiego koronnego Morsztyna, a męża zaufania Ludwika XIV pt. „Sztuka dyplomacji". Rozprawę tę spolszczył p. Mieczysław Szerer, b. dyrektor Min. Wyzn. Rel. i Oświecenia Publicznego. Poprzedził ją ciekawym wstępem, w którym oświetlił tak postać autora, jak czas jego działalności dyplomatycznej. Słuchamy tych faktów z dziwną determinacją. Okazuje się, że Jan Sobieski, marszałek i hetman, późniejszy król, pobierał od króla francuskiego jurgielt. Historyk T. Korzon tłomaczy ten fakt: „Zapewne tytułem kosztów na agitację w interesie dworu, nie zaś jako zapłatę za sprzedane sumienie obywatela".

Zwyczaje nasze polityczne wiele zmieniły się od tych czasów. Teraz i na agitację nie wolno brać pieniędzy od mocarstw obcych. Wykluczono też przyjmowanie na służbę dyplomatyczną codzoziemców. W wieku 18, a nawet jeszcze w 19-ym snuło się w dyplomacji kilku włochów, greków, wysługujących się obcym monarchom. Teraz reprezentują kraje ludzie, związani z niemi krwią, tradycją, pochodzeniem.

Co jest umiejętnością dyplomatyczną? Czy zwodzenie, kłamstwo, świadomie podstępna lub intrygancka machinacja? Nie, — odpowiada Fr. de Callières. Wie on, że często osiągano jakie takie sukcesy takiemi metodami. Nie jest to jednak naogół wskazane. Mądry dyplomata (a dyplomata nie może być innym) powodzenie swojej działalności winien oprzeć tylko na czujnej roztropności. Pod tym względem daje on szereg rad, które się przydać mogą w życiu każdego człowieka, pragnącego osiągnąć powodzenie dla siebie i swoich zamysłów.

Ważne jest stwierdzenie, iż „oszustwem posługuje się, kto ma ciasny umysł; dowodzi ono, że nie ma się dość rozległych poglądów, by znaleźć środki osiągnięcia celu drogami sprawiedliwemi i rozsądnemi".

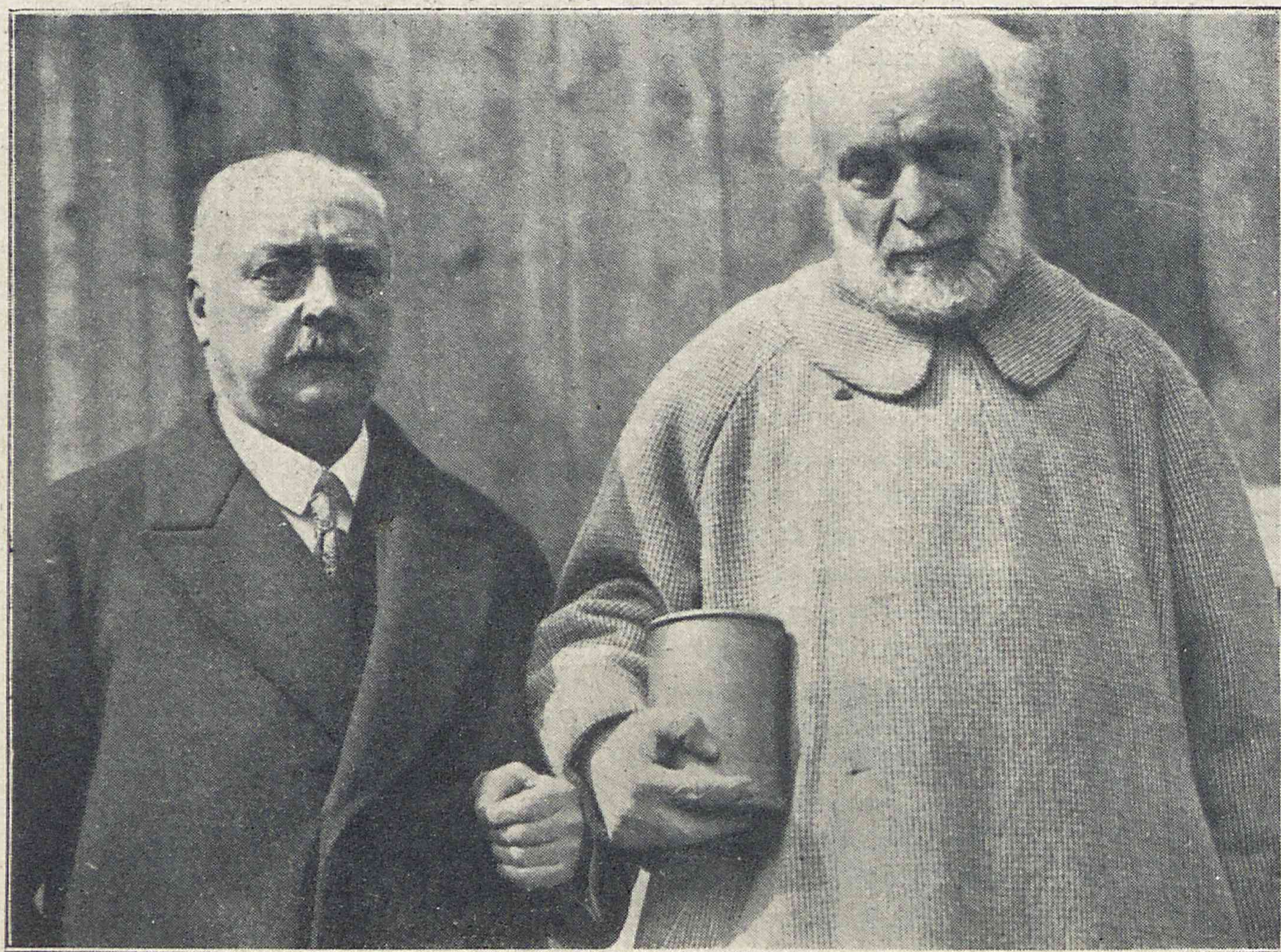
Oświadczenie to nie powinno być niespodzianką. Mamy wrażenie jednak, że wielu czytelników zdziwi się, że tak prosta jest recepta francuskiego dyplomaty. Na uspokojenie dodamy, że zaleca on i wiele innych ważnych, choć również prostych wskazań. Naprzykład „Mąż stanu musi być z obowiązku skryty i dyskretny, nie wolno mu mówić wszystkiego, co myśli". Nie znaczy to, iż nie ma być towarzyski. Przeciwnie! De Callières zaleca jaknajwiększe obcowanie z ludźmi, bo... przecież od nich można mieć informacje, niezbędne do pełnienia obowiązków dyplomatycznych...

Okazuje się więc, że wszystko jest bardzo proste na tym świecie. Nawet sztuka dyplomatyczna, uchodząca za rzemiosło niemal szatańskie. Zapewne. Trzeba jednak na to się urodzić, mieć do tego talent.

Niewiele przecież pomoże ten podręcznik gadule, rębajle, molowi książkowemu, snobowi lub zgoła fanfaronowi. Dyplomata — to człowiek prawie doskonały.

Dr. Z. M.

URNA Z ZIEMIĄ POLSKĄ POD POMNIK ADAMA MICKIEWICZA W PARYŻU



Mistrz Bourdelle — trzyma urnę z ziemią z kopca Kościuszki, przysłaną na jego ręce z Polski; obok wnuk Wieszcza — syn najstarszej córki Marji — Dr. Górecki

Fot. S. Londyński

† FELIKS JASIEŃSKI

W Krakowie zmarł jeden z nielicznych w Polsce ludzi, który całe życie poświęcił Sztuce. Tragedją Jasieńskiego był brak wszelkiego talentu twórczego. Kochał namiętnie Sztukę we wszystkich jej przejawach. Znaczny majątek pozwalał mu temu umiłowaniu dawać konkretny wyraz. Gromadził piękne dzieła, wybrał się w podróż do Japonji i stamtąd przywiózł mnóstwo bardzo cennych rzeczy. Mieszkanie Feliksa Jasieńskiego w Krakowie było wspaniałem muzeum. Jasieński zbierał tylko najlepsze dzieła najlepszych współczesnych malarzy polskich. Niezrównaną tę kolekcję ofiarował jeszcze za życia Muzeum Narodowemu. Jasieński, człowiek dużej wiedzy i najwykwintniejszych obyczajów towarzyskich, jeden z najświetniejszych dyletantów artystycznych, jakich Polska wydała, był w swych koncepcjach artystycznych bardzo skrajnym. W sztuce umiał tylko kochać albo nienawidzieć. Walczył chętnie piórem, i polemistą umiał być niebezpiecznym. W „Chimerze" pisywał nader ostre i cięte feljetony artystyczne, w ważniejszych sprawach z dziedziny Sztuki występował nieraz w sposób gwałtowny i jaskrawy. Temi wystąpieniami kierowało zawsze uczucie czyste i bezinteresowne, choć fanatyczne. Przyjaźnił się blisko ze wszystkimi, wybitniejszymi artystami swej epoki. Ileż to czarujących godzin spędziliśmy u niego, wśród tych niezrównanych skarbów Piękna, a przy wciąż pełnej butelce najprzedniejszego wina... Jasieński potrafił mówić o wszystkiem, najchętniej jednak mówił o sztuce. Z tych gawęd powstała jedyna jego większa książka, „Mangha", w której wypowiedział wiele trafnych uwag i sądów.

Potem stracił majątek, musiał wyrzec się dalszego gromadzenia dzieł sztuki. Najgorsza, że i wzrok począł mu niedopisywać. W ostatnich latach ociemniał zupełnie. Można-ż sobie wyobrazić okrutniejsze cierpienie: oto człowiek, który całe życie sycił oczy Pięknem sztuki, — traci wzrok... Odsunął się od ludzi, kończył życie w odosobnieniu... Młodsze pokolenie zapomniało o nim, dopiero śmierć na nowo przypomniała jego imię — i zasługi.

skrz.

Nowa powieść M. Prevost'a

Ostatni utwór Prevost'a nosi tytuł: „Mężczyzna czysty" *(L'homme vierge)*, a jego osnową jest dramat erotyczny trojga ludzi. Trójkąt w miłości odgrywa stale dużą rolę. Tym razem nie jest on klasyczny, rozgrywa się bowiem między ojcem, synem i kochanką ojca.

Hr. Hervé de la Gatelle, bogaty szlachcic gaskoński, używa życia, jak kiedyś je rozumiał „*le roi galant*". Z doczesnych rozkoszy miłość wydaje mu się najprzedniejszą. Kobieta nie budzi w nim złudzeń: kocha zarówno jej zalety i cnoty, jak i jej grzechy. Po okresie miłostek młodzieńczych żeni się, ma syna. Lecz małżeństwo nie zmienia jego trybu życia. Słabe zdrowie żony, pędzącej żywot odosobniony, poniekąd go usprawiedliwia.

Na zamku zjawia się młoda dziewczyna, siostrzenica żony, sierota. Ma piętnaście lat, jest piękna. Syn Hervé'go jest od niej zaledwie o parę lat starszy. Niema go w domu, uczy się, potem służy w wojsku, włóczy się po świecie. Czterdziestokilkuletni *viveur* zakochuje się w panience, uwodzi ją. Sydonja nie umie oprzeć się temu dobrotliwemu Don Żuanowi, który chce siać koło siebie radość życia, a nie chce niczyjej krzywdy. Wytwarza się stosunek, który trwa 14 lat. Sydonja probuje czasem wyzwolić się z pod sugestji uwodziciela. Zdarza się to zawsze, gdy bawi na zamku syn hrabiego, Arnal. Bo Sydonja podświadomie kocha się w Arnalu. Ten znów jest zgoła odmiennego autoramentu. Zachował całkowitą czystość. Jest niewinny, jak... nie można powiedzieć, jak panienka, bo w tym wypadku właśnie z panienką jest inaczej. I na tem tle rozwija się dramat, który Prevost przeprowadza z właściwą mu wnikliwością, subtelnością i ironją. Dramat, którego napięcie dochodzi do maximum, kiedy po śmierci matki Arnal zjawia się na dłużej w zamku. Hervé ma już 58 lat. Sydonja, która jeszcze nie przekroczyła trzydziestki, rozumie teraz, że kochała i kocha tylko Arnala. Odrzuca propozycję małżeństwa, którą jej czyni podstarzały Celadon. Ten widzi zmianę w zachowaniu się kochanki, odgadując przyczynę. Doprowadzony do rozpaczy, chce umrzeć — ale z nią razem. W szaleństwie samochodowem ginie wszakże sam, Sydonja jest uratowana. Arnal dowiaduje się, że jest w stanie odmiennym. By ratować jej honor — za ojca — żeni się z nią. Lecz małżeństwo będzie „białem", nie będzie nigdy zrealizowanem. Tak zapowiada „mężczyzna niewinny". Sydonja godzi się. W duszy ma zapewne nadzieję, że drzewo życia, wiecznie zielone, okaże się mocniejszem od szarej teorji...

S.

Paryż.



Herbert Brenon, znany filmowy reżyser, przed sztucznem miastem skomponowanem dla filmu „Tancerz Hiszpański"

W HOLLYWOOD

Jak wygląda wielka, światowa wytwórnia kinematograficzna?

W Hollywood są rozległe posiadłości, otoczone zazwyczaj wysokim murem. Nowoczesne twierdze, zazdrośnie kryjące swe skarby przed wzrokiem niedyskretnych i ciekawych! Wielka, majestatyczna brama wjazdowa: przejdzie przez nią tylko ten, kto będzie mógł wylegitymować się odpowiednio...

Łatwiej jest uzyskać w Europie audjencję u niejednego prezydenta republiki, niż być przyjętym przez dyrektora lub głównego reżysera takich firm, jak Paramount, United Artists, First National lub Universal. Wielka wytwórnia amerykańska ma charakter wybitnie przemysłowy, handlowy. Olbrzymie biura zatrudniają setki urzędników. Business! Ogarniający całą kulę ziemską business!...

Składane dyrekcji scenarjusze odczytywane są w *Scenario - Departament*. Uznane za nieodpowiednie są natychmiast zwracane autorom. Te, które wydały się interesujące, są referowane szefowi wydziału. On decyduje o ich nabyciu. Autor otrzymuje za scenarjusz od 2.500 do 100 tys. dolarów. Poczem manuskrypt idzie do rąk specjalnych urzędników, którzy wypracowywują kosztorys jego produkcji. Tam ustala się, że realizacja danego scenarjusza ma np. kosztować 200 tys. dolarów i ma być wykonaną w ciągu 29-u dni.

Teraz scenarjusz wraz z kosztorysem przechodzi do t. zw. *Scenario's writers*, którzy tworzą z niego, w ramach wyznaczonego budżetu, szczegółowy, uporządkowany technicznie materjał dla reżysera.

W Niemczech — i zresztą u nas — zowie się to *Droechbuch*. Równocześnie wybrany został reżyser, — taki, którego talentowi temat najlepiej będzie odpowiadał. Między szefem wydziału, lektorem, autorem *Droehbuch'u* (czyli „tekstu do kręcenia") odbywa się szereg narad, podczas których ustalone są ostatecznie wszystkie szczegóły realizacji. Czasem bierze w nich udział i „gwiazda", (lub „gwiazdor"), mająca odtwarzać główną rolę. Te konferencje bywają bardzo burzliwe. Wykonawcy domagają się zawsze znacznie większych kredytów, niż te, które skłonny jest przyznać *maganer*. Nawymyślali sobie, nawygrażali, czasem trochę się poturbowali, — poglądy zostały uzgodnione. Reżyser, wespół z twórcą *Droechbuchu* pracują przez kilka dni razem, poddają scenarjusz jeszcze jednej rewizji. Pomocnicy reżysera czynią spis potrzebnych aktorów, dekoracji i kostjumów.

Reżyser zwraca się wówczas do *Casting Office* i tutaj w porozumieniu z nim odbywa się rekrutacja interpretatorów.

Iluż to artystów obojga płci miesiącami wyczekuje tego krótkiego wezwania telefonicznego:

— Hallo! Master X? Zechce pan wpaść jutro z samego rana do naszego *casting...*

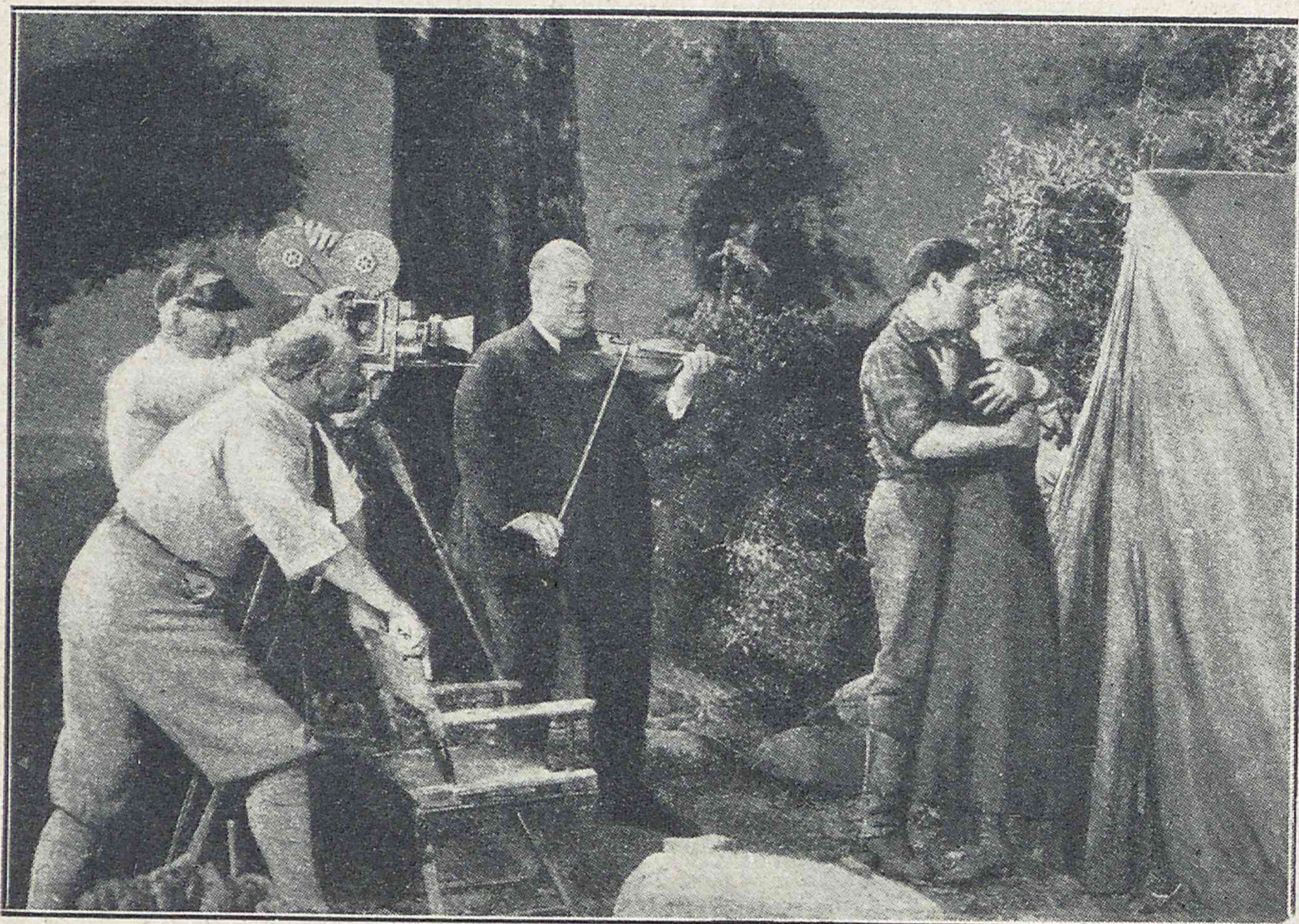
Tu odbywają się egzaminy artystów drugorzędnych, pod okiem reżysera i *scenario's writer'a*. Nieszczęśliwej ofierze każą przejść lub przebiec przez pokój, rzucić się na ziemię — wskoczyć na stół. Potem pchają ją przed aparat fotograficzny, by sprawdzić fotogeniczność.

— Za parę dni otrzyma pan (pani) wiadomość!

Otrzyma — albo nie otrzyma, bo do każdej roli wezwanych było kilku kandydatów. Wybrany będzie ten, którego egzamin wypadł najpomyślniej.

Odrzuceni kandydaci wymyślają zazwyczaj na niezręczność fotografa i na system protekcyjny dyrektorów. Bo przyjemniejsze jest poczucie doznanej krzywdy, niż świadomość, że się jest bez wartości...

I oto nareszcie wszystkie role obsadzone, lista statystów ustalona, dekoracja i kostjumy gotowe... Wczesnym rankiem w wielkim hangarze zjawia się ekipa elektro-techników, którzy ustawiają „jupitery", sprawdzają techniczne instalacje. Koło dziewiątej zjawia się wraz ze swymi pomocnikami reżyser. W jednem ręku trzyma megafon, w drugiem — egzemplarz sce-



W Hollywood. Wywoływanie nastroju sentymentalnego: pocałunek pod akompanjament skrzypiec

narjusza. Artyści już są w kostjumach, ucharakteryzowani, gotowi na pierwsze wezwanie. Rozpoczyna się praca pospieszna, nerwowa, starannie rozplanowana, uparta. Niektóre sceny powtarzane są bez liku. Nikt nie śmie zaprotestować. Opowiadają, że reżyser Murnau kazał słynnej Janet Gaynor powtarzać jedną scenę 104 razy. Muzyka przygrywa smutnie lub wesoło, stosownie do tego, jaki nastrój jest potrzebny.

W południe śniadanie. Każde większe studjo posiada własną restaurację. W czasie tej przerwy sala jadalna przedstawia oryginalny widok. Niesłychane pomieszanie typów ludzkich, kostjumów! Wszystkie rasy, starcy, młodzież, dzieci... Gwiazdy i zwykli statyści... Twarze uszminkowane okropnie. Atmosfera podniecona, przeważnie radosna i serdeczna...

Koniec zdjęć nie jest ściśle określony. Zazwyczaj trwają do szóstej. Jeden z pomocników reżysera obwołuje:

— Jutro godzina dziewiąta!

Wszyscy rozbiegają się szybko. Wszyscy? W gabinetach dyrektorów świeci się do późna w nocy. Reżyser pozostał w *cutting - room*, gdzie się odbywa montaż, jeden z najtrudniejszych etapów tego procesu. Niemcy są w tym dziale nieprześcignieni.

Ta napozór tak sprawnie działająca machina miewa często poważne braki. Przy wyborze i opracowaniu scenarjuszów wynikają bardzo często kłótnie i nieporozumienia. Kredyty, wyznaczone na realizację, okazują się niewystarczające. Reżyser jest niezadowolony z gry artystów. W tem dość pierwotnem pod względem obyczajów środowisku nikt nie maskuje się ze swojemi uczuciami. Wybuchają gwałtowne spory, kłótnie. I nieraz piękna Florence Vidor lub Gloria Swanson, zanim utrwali na filmie swój czarujący uśmiech, wypłacze się gorzko na brutalność, z jaką ją traktują...

Gordon.

Filmy dźwiękowe w Warszawie. Będzie je miało Kino „Palace"

Warszawskie biuro kinematograficzne „Sfinks" otrzymało od największego na kontynencie przedsiębiorstwa filmowego „Uniwersum Film A. G." następującą depeszę":

„Zawarliśmy umowę z wytwórnią aparatów nadawczych i odbiorczych dla filmów dźwiękowych, wyłonioną z światowych firm „Siemens" i „A. E. G.", a która produkować będzie aparaty do realizowania filmów dźwiękowych dla wszystkich naszych ateliers oraz aparaty odtwórcze dla wszystkich kinoteatrów. Fakt, że przystępujemy do realizacji filmów wokalnych i dźwiękowych, jest dostateczną rękojmią wysokiego poziomu artystycznego i technicznego tego nowego udoskonalenia filmu. W ciągu trzech miesięcy staną na naszych terenach realizacyjnych w Neubabelsberg cztery nowe wielkie halle o konstrukcji specjalnie przystosowanej do wymagań realizacji filmów dźwiękowych. Koszty tych urządzeń wyniosą kilkanaście miljonów marek. Zaczem nowa nasza produkcja składać się będzie i z filmów muzycznych, śpiewnych, tanecznych i szmerowych. Wasze Kino „Palace" będzie zaopatrzone przez nas wkrótce w aparat odtwórczy do demonstrowania filmów dźwiękowych".

„Ufa".

DROBIAZGI LITERACKIE

„DZIECIĘ SŁOŃCA"

Niedawno czytaliśmy piękne studjum prof. dr. Władysława Natansona, rektora Wszechnicy Krakowskiej, znanego fizyka, o twórczości P. B. Shelley'a. Uczony krakowski nie szczędzi twórcy „Prometeusza" zachwytu, podnosi jego idealizm. „Dzieckiem słońca" nazwał go Andrzej Maurois, znany francuski literat, autor biograficznej powieści o Shelley'u. Powieść ta przynosi niespodziankę. Zaszczepiło się przecież mniemanie o eteryczności, niemal nieziemskości Arjela poezji. Tak pojął go też i Antoni Lange, twórca poematu pt. „Śmierć Shelley'a".

Powieść, jak zresztą wszelka proza, odsłania nam niezwykle anarchistyczną, nieporządną psychikę, podległą łatwym impulsjom szczególnie natury erotycznej. P. B. Shelley w romansach swoich był dosyć literalny: jako kilkunastoletni młodzieniec uwiódł córkę londyńskiemu właścicielowi kawiarni. Później nawiązał stosunek z córką Godwina, Mary. Harrieta skończyła samobójstwem. Wiele zgryzot musiała przenieść Mary. Nadomiar papa jej, filozof wolnomyślny, stale potrzebował pieniędzy. Brał je więc od kochanka córki. Dopiero po tragicznej śmierci Harriety-Shelley wstąpił z Mary w związki małżeńskie. Wtedy pomawiano go już o romans z jej siostrą Klarą.

Kronika opowiada o wielu jego przygodach miłosnych. „Dziecię słońca" pod względem pieniężnym i sercowym było zupełnie... nierealne. Los zdarzył, że miał dziada i ojca, magnatów. Pokrywali jego szaleństwa. Shelley za to dał literaturze świata kilka arcypięknych strof.

Byłoby może zbytnią pedanterją żądać od pisarza, poety, artysty, zachowywania ścisłego przykazań społecznych, to przecież i zwykli ludzie często je łamią. A jednak wizja Harriety, o której mówi tegoczesny Times, że... „będąc w ostatnim miesiącu ciąży, utopiła się przez rozwiązłość obyczajów". Fakty stwierdzają, iż gdy przestała otrzymywać listy od Shelley'a, zaczęła uprawiać nierząd.

Po śmierci jej „Dziecię słońca" kilkakrotnie przybierało pozy tragiczne. Pocieszył się wtedy stwierdzeniem, że... „wolność odpowiednia jest tylko dla ludzi silnych... dla ludzi wyższych... a Harrieta należała do rzędu dusz niższych".

Shelley zginął również tragicznie: utonął. Czy nie należałoby w tem widzieć, jakiejś wskazówki co do istnienia sprawiedliwości? Poeci śmierć jego biorą, jako panteistyczną konsekwencję jego poglądu na świat. Topielica z pod londyńskiej serpentyny i topielec z morza tyrreńskiego — oto rezultat życia wolnego, nieskrępowanego żadnym przepisem społecznego porządku.

Biografje niezawsze przynoszą poetomi glorję!

ności od kina do [illegible]
no słyszeliśmy przepowiednie, że kino musi zabić teatr). Złość nurtuje małe serduszka, złość i zawiść wykrzywia duże nosy sztuczną pogardą, — i plecie się o schlebianiu złemu smakowi publiczności... Gdy teatry warszawskie wystawiają farsy francuskie, niemieckie lub amerykańskie, wszystko dzieje się jaknajlepiej w tym najlepszym ze światów. Lecz gdy powodzenie osiąga lekki utwór oryginalny, lokalne pięknoduszki otrząsają się z obrzydzenia! Cóż pomogą jednak te ataki żółci? We wszystkich teatrach dramatycznych stolicy na afiszu figurują wyłącznie sztuki pisarzy polskich i publiczność tłoczy się co wieczór do kas. A w najbliższej przyszłości mają być wystawione nowe utwory Rostworowskiego, Perzyńskiego, Nowaczyńskiego, Kaweckiego i Beylina!

Teatry prowincjonalne. Teatr Polski w Poznaniu wystawił z dużem powodzeniem „Niespodziankę" Rostworowskiego. W najbliższym czasie tenże dramat wystawiony będzie w teatrach łódzkim i lwowskim

Chcecie sztuk cudzoziemskich? Chcecie wiedzieć także, co się tworzy dla teatru zagranicą? Boy - Żeleński słusznie powiada w „Kurjerze Porannym", że jest tylko jedna na to rada. Należy założyć nowy teatr. W Warszawie jest zamało teatrów dramatycznych. Stolicy potrzebny jest nowy teatr dramatyczny o charakterze kameralnym. Możnaby z łatwością na ten cel zamienić jedną z sal kinematograficznych, bo kinematografy robią bokami.

Kto podejmie i urzeczywistni tę myśl?

[illegible] zdeponować te skarby wraz z bibljoteką. Nie ujechał jednak 10 mil, gdy napadli go maruderzy i jako „szpiega" prowadzą do Mogielnicy. Wyprzęgają od wozów konie, odbijają kufry, dobierają się do arcycennej bibljoteki. Bogusławski nie stracił ducha. Nie było to nowością. Człowiek ten stale powtarzał sobie maksymę: przeznaczeniem mojem jest przeciwnościom nigdy nie ulegać. Skomunikował się z pocztmistrzem i prosił, żeby powiadomił gen. Dąbrowskiego o jego przygodzie.

Sześciu żołnierzy i sierżant przybyli natychmiast na pomoc Bogusławskiemu. W ten sposób gen. H. Dąbrowski uratował teatr polski od strat, a może i zagłady.

DRAMAT NIEMIECKI NA SCENIE PARYSKIEJ.

Sztuki niemieckie bywały grywane na scenach paryskich. Hauptmann („Tkacze" i „Woźnica Hentschel"), Sudermann („Gniazdo rodzinne) odnosili nieraz piękne sukcesy. Było to jednak dawniej, na dobrych kilkanaście lat przed wojną. Od dwóch dziesiątków lat twórczość dramatyczna niemiecka zniknęła całkowicie z afiszów we Francji.

I oto teraz, nieomal równocześnie z pogrzebem Foch'a, teatr „Avenue" wystawia dramat niemiecki w przeróbce francuskiej, — i dramat ten zyskuje taki sukces, że autor, p. Leonhard Frank, rodowity niemiec, musi zjawić się przed kurtyną i dziękować oklaskującej go publiczności. Czy nie zdumiewające przeobrażenie w umysłowości francuskiej?

przyjaźni i miłości. Utwór jest nawskroś realistyczny, nasiąknięty sentymentem. Sukces „Karola i Anny" świadczy także o zmianie w upodobaniach publiczności paryskiej, o powrocie do prostoty uczucia, niemal do sentymentalizmu. Ten sam objaw w pewnej mierze daje się zauważyć i u publiczności warszawskiej.

GIEŁDA DRAMATYCZNA W EUROPIE.

P. George Middleton, amerykański delegat na kongres autorów dramatycznych w Berlinie, w biuletynie swego związku zamieścił cały szereg informacji, dotyczących życia organiazacyjnego, repertuarowego, prawnego i materjalnego wśród dramaturgów i teatrów europejskich. Autorzy dramatyczni ze Stanów Zjednoczonych coraz częściej bywają grywani na scenach europejskich. Nic dziwnego, że zwrócili uwagę na ten rynek dla swojej produkcji.

P. Middleton informuje swoich kolegów o stosunkach i zwyczajach, panujących w najstarszym związku autorów dramatycznych we Francji. Jest to pouczające. Życie praktyczne nauczyło autorów francuskich wielu pożytecznych rzeczy, które wartoby zastosować i w organizacjach zawodowych innych narodowości.

W zeszycie II tego biuletynu znajdujemy informacje o rynku teatralnym i warunkach pracy na Węgrzech, Czechosłowacji, Polsce, Rumunji i Finlandji.

Informacje o Polsce pochodzą od p. Stefana Krzywoszewskiego, prezesa Związku autorów dramatycznych. P. Middleton pisze:

„W czarującej przemowie przed Federacją p. Krzywoszewski w ogólnych linjach nakreślił stosunki, panujące w jego ojczyźnie". (In a charming speech before the Federation M. Krzywoszewski gave a general outline of the conditions in his country).

P. Krzywoszewski przyrzekł współdziałać z autorami amerykańskimi w sprawie obrony praw materjalnych i moralnych.

Publikacje p. Middletona wskazują, jak wielką wagę przywiązują amerykanie do rynków teatralnych europejskich.

„FIGARO" O „SZTUCE DRAMATYCZNEJ W WARSZAWIE".

Jak wiadomo, znany dziennik paryski „Figaro" wchłonął obecnie, ongiś poczytny organ „Gaulois". „Figaro" przy tej sposobności zmodernizował swoją szatę zewnętrzną. Dyrektorem tego wydawnictwa jest p. Franciszek Coty. W numerze niedzielnym z dn. 7 kwietnia rb. w rubrvce „Życie literackie i teatralne" ukazał się artykuł p. Stefana Krzywoszewskiego pt. „Sztuka dramatyczna w Warszawie".

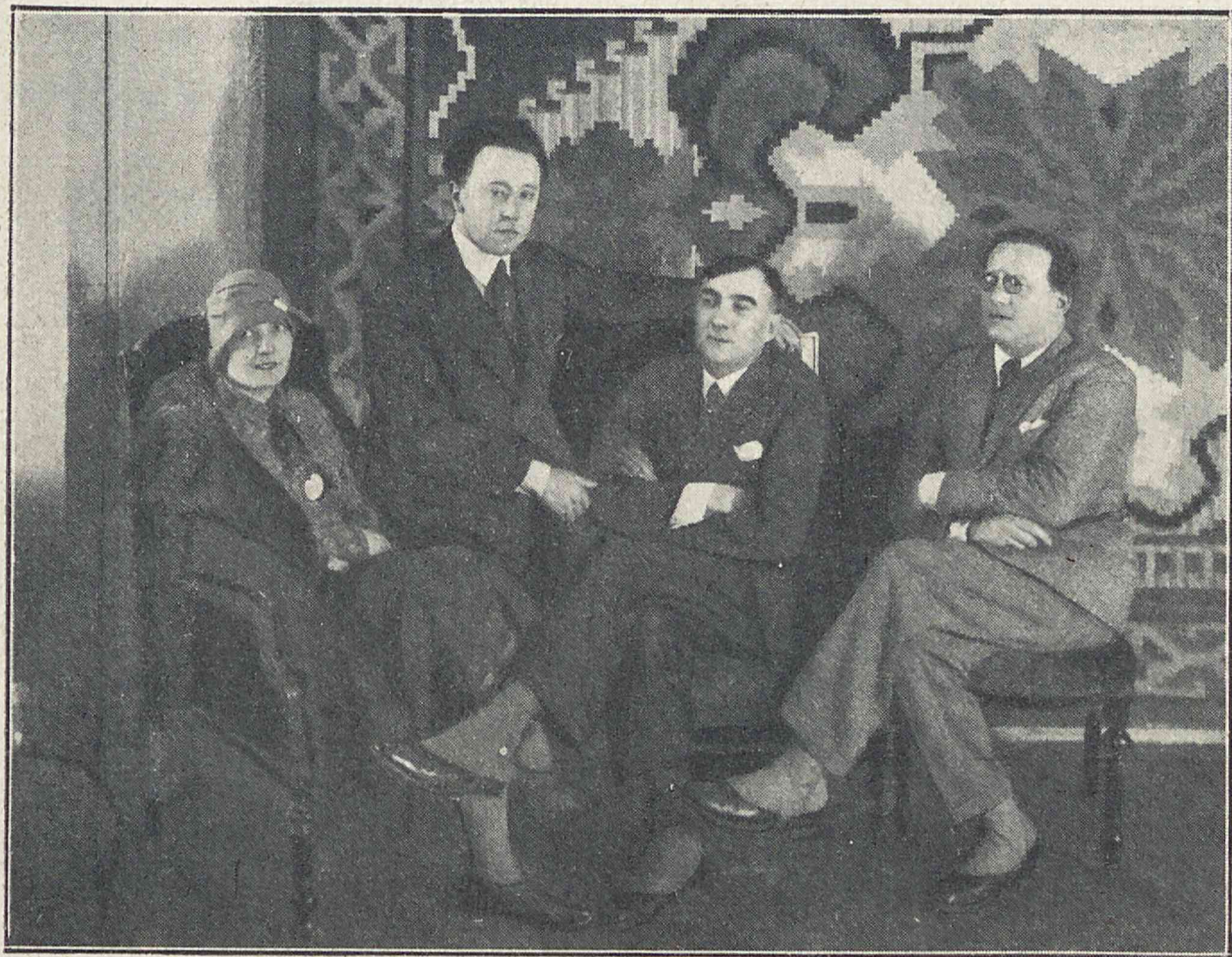
Artykuł ten omawia nasze życie teatralne. Rzeczowo, objektywnie a zwięźle informuje p. St. Krzywoszewski o repertuarze, autorach, aktorach i kierownikach scen stołecznych. Jest to dla czytelnika francuskiego wierny obraz stosunków, panujących w naszem życiu teatralnem. Pierwsza to praca informacyjna tego rodzaju. Dotychczas zdarzało się, że na szpaltach pism zagranicznych przygodni korespondenci z Polski załatwiali swoje prywatne rozrachunki, dawali wyraz osobistym sympatjom lub niechęciom. Taka propaganda więcej szkodziła, niż pomagała naszej twórczości. Artykuł p. St. Krzywoszewskiego stwarza dodatni precedens objektywnego unormowania opinji zagranicznej o naszych teatrach i sztuce dramatycznej.

Redakcja dziennika francuskiego opatrzyła artykuł wielce znamiennym wstępem:

„Figaro" jest szczęśliwy, że zalicza do grona swoich współpracowników najbardziej znakomitych cudzoziemców. Artykuł, który zechciał napisać na nasze żądanie (p. Krzywoszewski), wyróżnia się wszystkiemi świetnemi cechami, charakteryzującemi tego znakomitego pisarza-przyjaciela: precyzja, finezja, subtelność, delikatność i opanowanie sztuki teatralnej posunięte do ostatnich granic".

Dla propagandy sztuki naszej we Francji nie jest to obojętne, że tak poczytny organ prasowy, jak „Figaro", zamieścił na honorowem miejscu artykuł p. St. Krzywoszewskiego.

X-LECIE KRAKOWSKIEJ ORKIESTRY SYMFONICZNEJ



W Krakowie, na wieczorze d. 5 b. m. grał Artur Rubinstein (fortepian), d. 6 b. m. odbył się wieczór choreograficzny H. Szmolcówny, d. 7 b. m. koncert symfoniczny pod dyrekcją G. Fitelberga zgromadził elitę publiczności. K. Szymanowski zjechał do Krakowa specjalnie na ten jubileusz

Grubiński w Londynie

(Od naszego korespondenta).

Przeglądając z obowiązku dziennikarskiego całą niemal prasę polską, nie bez zdziwienia zauważyłem, że o wydarzeniu tak poważnego znaczenia, jak przedstawienie komedji polskiego znanego autora na pierwszorzędnej scenie londyńskiej, pisze się w kraju bardzo mało. Możnaby prawie powiedzieć, że ten niepospolity, wyjątkowy fakt przeszedł w Polsce niezauważony! A przecież wystawienie sztuki Wacława Grubińskiego w Londynie jest *pierwszym wypadkiem wystawienia utworu polskiego twórcy w stolicy Anglji*. Po raz pierwszy się zdarza, że publiczność angielska ogląda i słucha w Londynie sztukę polską, oklaskuje ją, mówi o niej, i że następnie najpoważniejsze pisma angielskie w swoich miljonowych nakładach poświęcają tej sztuce polskiej recenzje, pełne uznania dla talentu polskiego pisarza i dla jego kultury. Anglicy nie lubią się bawić w komplementy. Słowa ich uznania są poważne, nie są zdawkową uprzejmością. Krytyk angielski, któryby miał przeświadczenie, że sztuka *Pokój, Wojna i Rewolucja* nie jest utworem wartościowym, „zerżnąłby" ją bez ceremonji, nie oglądając się na to, że tem zerżnięciem robi przykrość nietylko Grubińskiemu, ale wogóle polakom. Więc jeżeli dumny anglosas równa Grubińskiego z największym współczesnym komedjopisarzem nietylko światowym, ale i — angielskim! z Bernardem Shaw, to doprawdy możemy być zupełnie zadowoleni z naszego rodaka. Recenzent *Evening Standard* pisze dowcipnie na początku swego artykułu: „Wczoraj wieczorem krążyły w teatrze pogłoski, że autorem niezwykłej sztuki, przedstawianej w *Royalty Theatre* pt. „Pokój, Wojna i Rewolucja", napisanej rzekomo przez polskiego autora, jest nie kto inny, jak sam Bernard Shaw. Sławna, bezbożnie biała głowa widniała w krzesłach, jak to się zdarza w tych nielicznych okazjach, kiedy rzeczywiście jest coś do zobaczenia w teatrze, i była przedmiotem wielkiego zainteresowania audytorjum podczas całego przedstawienia".

Już ten krótki wstęp wystarcza, aby Grubińskim zainteresowała się cała inteligencja Wielkiej Brytanji. A poza *Evening Standard* nie szczędzą uznania polskiemu dramaturgowi tak solidne organa, jak *The Observer, Morning Post, Daily Telegraph, Times, Everyman...*

Nigdy jeszcze na temat polski prasa angielska nie wyrażała się tak obficie i tak pochlebnie. Wystawienie komedji Grubińskiego na scenie londyńskiej stało się pierwszorzędnym aktem propagandowym. Opinja polska, a może i czynniki oficjalne, zdają się nie doceniać tego faktu. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że dla szerokich sfer inteligencji angielskiej przedstawienie londyńskie *Pokoju, Wojny i Rewolucji* jest rewelacją, jest poniekąd *odkryciem polskiej literatury dramatycznej*.

Na zakończenie dodam, że przekład Florjana Sobieniowskiego i Pearsona zyskał pochwały najbardziej wymagających krytyków.

Esg.

Cudzoziemskie głosy o książce Ejsmonda „W Puszczy"

Opowieści zwierzęce Ejsmonda p. t. „W puszczy" wzbudziły duże zainteresowanie zagranicą. Na rosyjski przedłożył je znakomity poeta K. Balmont. W organie emigracji, wychodzącym w Paryżu, pt. „Rossija i Słowiaństwo" (Nr. 16), obok przekładu drukowanego swego czasu w „Świecie" opowiadania „Miłość i Śmierć" daje Balmont piękne słowo wstępne, w którem charakteryzuje twórczość Ejsmonda, twierdząc, iż „w dziedzinie opisów myśliwskich zajął on dziś pierwsze miejsce.

„W puszczy napisane jest z taką żywością, że masz wrażenie, iż nie książkę czytasz, a słuchasz żywego słowa"...

We Francji opowieści „W puszczy" ukazały się aż w trzech tłomaczeniach. Świetne są przekłady, dokonane przez bar. Heinzel. „Les Amis de la Pologne", wydawane przez Rose Bailly, oraz oba organy łowiectwa francuskiego „Le Saint Hubert Club" i „Le Chasseur Français", podają wszystkie niemal opowieści Ejsmonda „o sercu zwierzęcem", zaopatrując je w gorące pochwały.

Obszerne studjum o twórczości Ejsmonda daje Piotr Leheudé w Nr. 2 „Les amis de la Pologne", kładąc nacisk na fakt, iż książka Ejsmonda „W puszczy" odkrywa przed czytelnikiem-cudzoziemcem nieznane i nieprzeczuwane cuda polskiej puszczy, puszczy Polesia. „Opowieści te — pisze Leheudé — mają jako tło puszczę poleską. Poezja i oryginalność krajobrazu owiewają je niezwykłym czarem. Ale poezję tę Ejsmond umiał pogodzić ze wspaniałym realizmem i niebywałą prostotą".

NIEZAGOJONE BLIZNY

(Książka, która wzbudziła sensację).

Od paru miesięcy leży w witrynach księgarskich w Niemczech książka o lapidarnym tytule „Im Westen nichts Neues". (Na Zachodzie bez zmian). Nazwisko na okładce nieznane — Erich Maria Remarque. Pod tytułem zaś widać drobnym drukiem: „300. tysiąc".

„Im Westen nichts Neues" jest niewątpliwie niemieckim bestsellerem sezonu. Mimo tego, że jest książką wartościową. Że jest nieaktualną, pozbawioną zwartej akcji, wątku romansowego. Że cena jest niezbyt niska (6 marek za egzemplarz oprawiony, 4 marki za broszurowany). Ale Niemcy kupują przeważnie książki w oprawie. Pytają się czasem księgarza: „Nie ma pan lepszej oprawy?". Bo książka ta jest czemś więcej, niż romansem; jest epopeją szeregowca wielkiej wojny, epopeją małego człowieka. Remarque odkrywa niezagojone blizny i bez przesady, bez optymizmu młodych leaderów Stahlhelmu (Jünger, Schauwecker), bez jadu goryczy komunizujących przedstawicieli kierunku radykalnego (Lampel, Toller, Wandt, Friedrich) pokazuje wojnę taką, jak ją odczuwały miljony żołnierzy, najprzód rozentuzjazmowanych, potem zawiedzionych, wreszcie przyzwyczajonych, po wojnie zaś wykolejonych. „Książka ta—pisze znakomity poeta Walter von Molo — jest naszym pomnikiem nieznanego żołnierza". A autor poświęca ją swojej generacji, która „zginęła, choć uszła granatom wojny".

Pojawiły się przeciw książce tej — odosobnione coprawda — głosy protestu. Jakiś wierny cesarzowi generał potępia ducha książki, pokazującej wojnę: „aus der Froschstellung", pod kątem zainteresowania o codzienne jadło, obawy przed niemal codziennemi czołgami i miotaczami płomieni. Panu generałowi odpowiedzieli prawdziwi żołnierze frontowi, którzy wytłumaczyli wodzowi psychikę żołnierza, siedzącego miesiącami całemi w okopach, wegetującego w sposób nie do pomyślenia dla człowieka kulturalnego i żyjącego w tych okropnych warunkach, jedynie dzięki rozwiniętemu instynktowi animalistycznemu oraz dzięki redukcji swojej potencji myślenia do najistotniejszych, najbardziej prymitywnych zagadnień bytu. Z kół radykalnych — komunistycznych i komunizujących — zarzucono Remarquowi brak tendencji burzących. Autor — mówią ultraczerwoni — pokazuje nam żołnierza, który godzi się z okropnościami wojny i stara do niej przystosować. Niema w nim nic płomiennego protestu, niema nic z przyszłego rewolucjonisty. Zarzut braku tendencji wywrotowej jest słuszny; twierdzenie to jednak jest niezwykle charakterystyczne dla zrozumienia psychiki narodu niemieckiego, psychiki „trzeciego stanu". Po przeczytaniu książki „Im Westen nichts Neues" zdajemy sobie dokładnie sprawę, dlaczego rewolucja niemiecka z listopada 1918 roku była komedjo - farsą, a Republika Niemiecka coraz to bardziej kapituluje na korzyść dawnego régime'u. Niemiec jest właśnie typowym drobnym burżujem (Kleinbürger). Jeden z przywódców lewicy niemieckiej opowiedział mi kiedyś kapitalną anegdotę, najzupełniej autentyczną: Kiedy w listopadzie 1918 r. waliła się w gruzy monarchja Hohenzollernów, a w Wersalu, gdzie powstało imperjum niemieckie pod prymatem Prus, druzgotano imperjalizm Nowych Niemiec — skrajne żywioły przygotowały oficjalne proklamowanie rewolucji. Na jednem z ostatecznych zebrań lewicy socjalistycznej w Berlinie uchwalono rozpoczęcie rewolucji na godzinę dwunastą w południe. Wówczas powstała jedna z „towarzyszek" i zapytała: „Czy berliński prezydent policji został już o tem powiadomiony? Inaczej mogłyby zajść pewne komplikacje". Ta prawdziwa — pod gwarancją — anegdota mówi wszystko. Tłumaczy stosunek głodnego, zawszonego żołnierza niemieckiego do dowództwa jeszcze w tej chwili, kiedy naczelny wódz na lądzie, w wodzie i w powietrzu decydował się odczekać konsekwencje przegranej wojny w Holandji, a głos oddziałów niemieckich w porządku wracało do kraju. Tłumaczy straszną wściekłość żołnierza frontowego, który widzi rannych i umierających, sam z maksymalnym wysiłkiem nerwów i mięśni odpiera atak nieprzyjaciela, a po paru dniach czyta lakoniczne sprawozdanie Naczelnego Dowództwa: „Na Zachodzie nic nowego". Realistyczny opis entuzjazmu ochotników, potratowanego przez wysłużonych zupaków - podoficerów, dotyczy zarówno żołnierza niemieckiego, jak Francuza, Rosjanina lub Amerykanina. W tej dziedzinie ma książka znaczenie ogólnoludzkie (vide określenia epopei w podręcznikach szkolnych!). Te rysy ogólnoludzkiej prostoty typowego przeżycia spotęgowane są okropnościami techniki wojennej na froncie zachodnim i smętkiem półgłodu poza frontem oraz świadomością wyczerpania rezerw ludzkich i materjalnych w obliczu coraz to świeżego dopływu amerykańskiego po stronie przeciwnej.

Autor wyruszył w pole, jako ochotnik-uczeń gimnazjalny, zżył się na froncie z paru rówieśnikami z ludu i podaje nam w krótkich, jędrnych słowach tragedję duchową tej generacji, która chwyciła za oręż wprost z ławy szkolnej i która, wracając po wojnie do domu, nie miała żadnego zawodu, do którego mogłaby powrócić, żadnych ideałów, na których — po przeżyciu frontowem i po przegranej wojnie — mogłaby się oprzeć.

Charakterystyczne są rozważania „polityczne" zabłoconych, obdartych szturmowców: Cesarz przyjeżdża na inspekcję. Oddziały zostają przeniesione na pozycje rezerwowe; ćwiczą się w chwytach broni, w oddawaniu honorów, czyszczą zardzewiałe karabiny. Intendentura wydaje nowe mundury i nowy ekwipunek — które zabiera natychmiast po odjeździe Kajzera. Brać żołnierska siedzi znów w swych obdartych, zaplamionych mundurach i jeden pyta drugiego: „Słuchaj, czy król musi stać przed cesarzem na baczność?".

Listonosz, wysłużony podoficer, znęca się nad jednorocznymi. Jedna z ofiar tego furoru teutońskiego postanawia po skończonej wojnie poświęcić się karjerze pocztowej: żebym mógł odemścić się na tej zwarjowanej szkapie pocztowej!

Profesor gimnazjalny, który wygnał całą klasę w pole, apelując do bohaterstwa młodzieży, zostaje powołany, jako szeregowiec pospolitego ruszenia w dwa lata po wybuchu wojny. Dostaje się pod komendę swego b. ucznia, który jest już oficerem. Młody podporucznik przypomina sobie czasy szkolne i z kolei szykanuje belfra. Pan profesor robi wszystko źle; jego towarzysz w szeregu, były portjer gimnazjum, jest wzorem cnót żołnierskich.

Język Remarque'a jest prosty, styl szczery i niewymuszony, czasami umyślnie bardzo realistyczny, tchnący powietrzem frontowem. Autor nie uogólnia, nie krytykuje przełożonych, nie głosi apologji szarego żołnierza. Nie rozumie poprostu celu wojny, nie pojmuje, czemu, na rozkaz, ludzie stają się wzajem najzaciętszymi wrogami. Świadomość tych wątpliwości boli go; pierwotne uczucie patrjotyzmu prędko znika; na jego miejsce przychodzi silne poczucie koleżeństwa, instynkt samozachowawczy, zmęczenie, no i wreszcie młodość dwudziestu lat. Ta młodość jednak normalnie zaprawiona jest piołunem goryczy, zaprawiona utratą kontaktu z przeszłością, brakiem zrozumienia rodziców, krewnych i znajomych, różnicą zapatrywań i odmiennym światopoglądem tego, który śmierci nieraz zaglądał w oczy i który upodabnia się do ściganej zwierzyny, co jeszcze w ostatniej chwili stawia groźny opór.

Nie zapominajmy, że książka Remarque'a (autor przeczytał swoje nazwisko odwrotnie — w rzeczywistości nazywa się Kramer) jest typowym zbiorem wspomnień żołnierza tych państw, który nie walczył o niepodległość swego narodu, nie miał więc tych podniet duchowych, jakie ułatwiały służbę zbrojną polską i niektórych innych narodów. Trzy lata chodził p. Kramer od wydawcy do wydawcy i nikt nie chciał drukować jego książki. Aż wreszcie wziął się do businessu dyskontowania przeżyć wojennych najbardziej rzutki nakładca niemiecki — Ullstein. Książka Remarque'a ukazała się nasamprzód w odcinku berlińskiej „Vossische Zeitung", potem zaś w wydawnictwie książkowem. Duża reklama ułatwiła pierwsze jej kroki na rynku księgarskim. Niezaprzeczone walory przyczyniły się do sensacyjnego, jak na stosunki niemieckie, powodzenia, do rekordu poczytności w rekordowo krótkim czasie, do odnowienia zabliźnionych ran psychicznych czytelników, współczesnej terapji psychoanalitycznej...

Dr. Alfred Bzowiecki

Berlin.

Rozwój automobilizmu w Polsce

W tych dniach otwarto w Warszawie w Dolinie Szwajcarskiej wielki pokaz nowego typu samochodów „Chevrolet" 6-cio cyl., wyrabianych przez potężny amerykański syndykat samochodowy „General Motors Corporation". Pokazano nam śliczne typy otwartych samochodów i karetki, karosowane już u nas w Polsce, tanie, wygodne i eleganckie. Przy tej sposobności zwiedzającym wystawę rozdawano darmo broszury pod tytułem „Drogi rozwoju przemysłu samochodowego w Polsce". Broszura ta ze wszech miar zasługuje na uwagę nietylko reflektantów na kupno samochodów, ale wszystkich, interesujących się automobilizmem w Polsce. Winna zainteresować również i sfery rządowe, w rękach których spoczywa niejedna decyzja, od której zależy należyty rozwój automobilizmu w Polsce.

Dowiadujemy się z tej broszury przedewszystkiem, że gdy w 1924 roku było w Polsce 13.000 samochodów, to w r. 1928 liczba ta doszła do 25.800, a przewidywana jest na 1929 rok 37.000 sztuk. Pomimo złego stanu bruków i dróg w Polsce, daje się zauważyć wyraźny wzrost liczby pojazdów mechanicznych. Jak jednak mimo takiego rozwoju automobilizmu stoimy *w* tyle w stosunku do zagranicy, wykazuje jasno fakt, że gdy obecnie przeciętnie w całym świecie przypada jeden samochód na każdych 64 mieszkańców, to w Polsce mamy jeden samochód na 1,174 mieszkańców. Różnica chyba widoczna aż nadto!

Jako przeszkody, stojące na drodze do należytego rozwoju automobilizmu w Polsce, autor broszury wymienia:

1) brak odpowiednich kapitałów;

2) brak odpowiednich przemysłów pomocniczych;

3) brak niektórych surowców;

4) brak fachowego personelu;

5) brak odpowiedniego aparatu i organizacji handlowej i

6) niekorzystne warunki pod względem obciążeń podatkowych i socjalnych.

Ten ostatni punkt według nas jest bodaj najważniejszy, gdyż jeszcze dotychczas władze nasze patrzą na samochód, jak na artykuł luksusowy, podczas gdy cały świat doszedł już do przekonania, że samochód jest artykułem bodaj pierwszej potrzeby, a w każdym razie przestał być dawno artykułem zbytku. Czy może istnieć w krajach zachodnich albo w Ameryce adwokat czy lekarz bez samochodu? U nas polityka celna, zapatrywanie władz sprawiają to, że samochód sprowadzony z zagranicy do Polski kosztuje 100 albo i więcej procent drożej, niźli w kraju produkcji, a nakładane wysokie cło motywowane jest ochroną złotego w bilansie państwa.

Broszura General Motors daje nam ciekawe zestawienia importu do Polski. Z zestawień tych widzimy, że samochody stanowią zaledwie 2,41 proc. całego importu do Polski. Tak ważny czynnik rozwoju kraju i jego obrony na wypadek wojny został zaliczony narówni z owocami egzotycznemi, kosmetykami i jedwabiami do artykułów zbytku.

Przywóz samochodów nie jest bynajmniej źródłem niedomagań naszego bilansu.

W następnym numerze postaramy się zająć szczegółowo polityką gospodarczą w kraju naszym w stosunku do przemysłu samochodowego.



Dnia 5 b. m. odbyło się z okazji wprowadzenia na polski rynek samochodowy nowego 6-cylindrowego modelu „Chevrolet 1929" śniadanie dla prasy, połączone z pokazem nowych modeli. Przy stole prezydjalnym siedzą od lewej do prawej: J. J. Akston, Kierownik Działu Reklamy i Intensyfikacji Sprzedaży General Motors w Polsce, J. R. Alexander, Zastępca Dyrektora Naczelnego General Motors w Polsce, S. Lewenthal, Wydawca Kurjera Warszawskiego, W. L. Pawłowski, Dyrektor Naczelny General Motors w Polsce, Z. Dębicki, Prezes Syndykatu Dziennikarzy Polskich, O. K. Winding, Kierownik Wydziału Sprzedaży General Motors w Polsce, Senator A. Iżycki, Dr. M. Gniazdowski, Referent Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów.



Studebaker wprowadza obecnie na rynek dwa modele samochodów najwyższej klasy: Ośmiocylindrowy President o sile 115 K.M. i zupełnie nowy ośmiocylindrowy model Commander o sile 80 K.M.

Żaden z istniejących dotąd modeli samochodów nie może się poszczycić doborem tak wysokich wartości technicznych, jakiemi są ośmiocylindrowe silniki Studebaker'a: rama dwustopniowa, podwójna karburacja, samoczynnie kontrolowany dławik, nierozpryskujące się szkło szyby przedniej, możność dostosowania siedzenia, pedałów i niezwykle wygodnej kierownicy do indywidualnych warunków kierowcy, kulkowe zawieszenie resorów, hydrauliczne amortyzatory.

Studebaker posiada 11 rekordów świata, 22 rekordy międzynarodowe i WSZYSTKIE rekordy urzędowe amerykańskie dla wozów seryjnych. Świetne samochody, które zdobyły te wszystkie wawrzyny, zostały obecnie jeszcze ulepszone.

Studebaker buduje cztery typy samochodów: President, Commander, Director i Erskine. Każdy z tych samochodów jest szampionem w swej klasie.

Części zapasowe stale na składzie.

Generalne Przedstawicielstwa w Polsce:
„STUDERS" Sp. z ogr. odp., Warszawa, ul. Fredry 4. Tel. 238-00 i 242-00. MAX FISCHER & CO, Łódź, ul. Piotrkowska 177. Tel. 461. POZNAŃSKI AUTO-SKŁAD, Poznań, ul. 27-go Grudnia 15. Tel. 39-09. JÓZEF KOZŁOWSKI, Lwów, Biuro Hotel George'a. Tel. 6-10. „AUTO-TRADE" Sp. z ogr. odp. Kraków, Plac Szczepański 1. Tel. 4275. CARL REICHMANN, Katowice, ul. Stawowa 5. Tel. 253: „DAKLA" G. m. b. H., W. M. Gdańsk, Kohlenmarkt 32. Tel. 28384. „DAKLA", Tczew, Kościuszki 15. MICHAŁ KURLANDSKI, Równe, ul. 3-go Maja. Tel. 50. M. REMBIELIŃSKI, Włocławek.
Składnica dla Przedstawicieli w Polsce: AUTO TRADING CORPORATION A-G. GDAŃSK, Hopfengasse 74. Adres Telegr.: AUTRA, GDAŃSK.
SAMOCHODY — AUTOBUSY — CIĘŻARÓWKI — CZĘŚCI ZAPASOWE.



STUDEBAKER





Grupa uczestników

Pod sympatycznym pręgierzem zagranicy

Dn. 7 kwietnia 1929 roku za oknami szaleje zawierucha śnieżna! Dziwnie zapowiada się ten rok.

Kwietniowa zima swoje, a piłkarze swoje. Od trzech tygodni odbywają się rozgrywki ligowe na śniegu.

Terminów dużo, nie można ich odkładać w nieskończoność, a ponieważ człowiek idealnie potrafi się przystosować do każdej sytuacji, więc i piłkarze nauczyli się szybko kopać na śniegu.

Cierpią na tem tylko ich gołe kolana i puste kasy klubowe, gdyż trudno wymagać od ludzi, aby marzli przez dwie godziny w zadymce śnieżnej.

Jeden sport jest w swoim żywiole, to narciarstwo. Zagranicą skaczą w najlepsze. Ubiegłej niedzieli najlepszy skoczek świata, norweg Rund szalał na skoczni niemieckiej.

Narciarstwo wspomagane przez mściwą i nielitościwą zimę tegoroczną staje się jednym z najpopularniejszych sportów w Europie.

Niema w tem nic dziwnego. Pięć miesięcy mrozów i śniegów, z najzagorzalszego lekkoatlety może zrobić przysięgłego narciarza.

Otóż schlebiając kwietniowej zimie, pomówimy o aktualnem jeszcze ciągle — narciarstwie. A jest o czem się rozwodzić. Międzynarodowe zawody F. I. S. w Zakopanem zyskały sobie niesłychanie zaszczytną opinję w prasie zagranicznej, oraz wyrazy uznania pod adresem narciarstwa polskiego. Nie może się tem poszczycić żadne z państw należących do F. I. S.

Znamienną rzeczą jest, że nawet najmniej przychylnie dla Polski usposobiona prasa niemiecka nie znajduje słów pochwały, tak dla samej organizacji sportowej części zawodów i wyników sportowych, jak również dla przyjęcia, jakiego doznali goście, przybyli do Zakopanego. Artykułów tych, bardzo obszernych i pięknie ilustrowanych, ukazało się zagranicą bardzo dużo. Nie zabrakło również humorystycznych lapsusów, tak charakterystycznych dla wielu „zagraniczników", wpatrzonych we własny pępek i nie orjentujących się w najprostszych sprawach sąsiedzkich.

Najpoważniejszym w Europie organem, poświęconym narciarstwu, jest czasopismo Rzeszy Niemieckiej „Der Winter". Redaktor tego pisma (od 22 lat!) Carl C. Luther, jeden z najlepszych zawodników - narciarzy doby przedwojennej, był osobiście w Zakopanem i nie należy bynajmniej do przyjaciół Polski i Pol. Zw. Narciarskiego. Posłuchajmy, co pisze Luther w olbrzymim artykule (672 w. i 11 ilustracji), poświęconym zawodom F. I. S.:

„Do Zakopanego przybyliśmy po 30-godzinnej podróży. Ludzie nasi zostali umieszczeni „bardzo familjarnie" w pensjonacie, w którym czuli się bardzo dobrze. Wszystkim drużynom zagranicznym przydzielono przewodników, znających obce języki. Każdy z nich mieszkał razem z drużyną, do której został przydzielony. Należy się za to uznanie aranżerom sportowym.

Skocznia zakopiańska jest najdoskonalszą, jaką kiedykolwiek widziałem. Być może, że skocznie w Holmenkollen lub w Fiskaporet mają podobne urządzenia, środkowa Europa niema ich z całą pewnością. Profil skoczni jest ideałem. Narciarze nasi twierdzą, że łatwo uzyskuje się na niej duże odległości. Mało się też przewracano.

Z pełnem narażeniem swojej opinji, jako przedstawiciel zagraniczny, muszę przyznać (inaczej nie mogę, amen), że nigdy lepszej i na równie szeroką skalę zakrojonej organizacji nie obserwowałem".

Polski świat sportowy powinien oddać piękny ukłon „w kierunku" P. Z. N., organizującego od dziesięciu lat narciarstwo polskie z niebywałym rozmachem.

Gdy rozszerzymy narciarstwo na całem Podkarpaciu, wtedy staniemy u szczytu rozwoju tego pięknego sportu w Polsce. Lecz wróćmy do „plotek": Dr. Danneger, kierownik ekspedycji szwajcarskiej i organizator zeszłorocznej olimpjady zimowej w St. Moritz — pisze:

„Organizacja zawodów narciarskich w Zakopanem przez P. Z. N. była wzorowa. Żaden klub szwajcarski nie zrobiłby tego lepiej. Przyjęcie delegacji naszej było nad wyraz koleżeńskie, obcowanie z oficjalnemi władzami i ludnością jaknajlepsze".

„Bieg pań został po raz pierwszy zorganizowany na międzynarodowych zawodach. W Polsce konkurencja ta jest specjalnie kultywowana.

Trasa prowadziła z Gubałówki, granicą, w bardzo pięknym, płaskim terenie. Zmienna, łamliwa szreń, czyniła zjazd dla pań za trudny. Zwyciężczyni, Polka Polonkowa, młoda dziewczyna przy podbiegu, „langlaufie" i zjeździe zachowywała się, jak dobry biegacz. Polki i czeszki dowiodły, jak ważnem jest organizowanie prawdziwych biegów pań dla rozwoju narciarstwa wśród kobiet.

„Stockholm Dagblad" nie szczędzi nam komplementów:

„Organizacja funkcjonowała tak sprawnie, że lepszej nie można sobie wyobrazić. Punktualność wzorowa. Godz. 8 m. 1 wypuszczono pierwszego zawodnika. Wywołało to zdziwienie wśród tych, którzy znali polaków z ich niepunktualności. Trzeba przyznać, że przygotowania do zawodów przeprowadzono z całą pieczołowitością i znajomością rzeczy".

Moglibyśmy zacytować tych hymnów pochwalnych bez liku.

Reasumując opinje zagraniczne, musimy stwierdzić, że sprawiliśmy wszystkim gościom miłą niespodziankę sprawnością organizacji, punktualnością, fachowością i wysokim poziomem naszego narciarstwa.

R.

TAM KUPUJCIE!

Z KALOTECHNIKI

Joannie K. Bezpowrotnie usunie piegi fr. płyn „Petunja“.

Ka. Li. Po każdem umyciu i wysuszeniu włosów należy je lekko nasmarować olejkiem radiowanym „Baume Silvia“. Włosy będą miękkie, nie będą się łamać, a co najważniejsze nie będą siwieć.

M. Sto... Przywróci włosom kolor pierwotny „Pigmin“ Z farb najlepszą jest „Dagmaril“.

Z. Z. Krem „Salome“ odpowiedni jest dla każdej cery. Udelikatnia, daje jedwabistą miękkość, chroni od szkodliwych wpływów zewnętrznych, jak puder i inne.

Marji Z. Bliższe szczegóły, jak również porady wysyłane są listownie za załączeniem znaczków pocztowych na odpowiedź. Listy należy adresować: „Kalotechnika“, Marszałkowska 116.

Dr. Z. K.

Polka — przodownicą w pielęgnowaniu urody

Amerykanie wydają rocznie półtora miljarda dol. na pielęgnowanie urody. Zdobycie pracy uzależnione jest w Ameryce od „gładkiej“ powierzchowności ubiegającego się. Wydatek zatem na urodę jest tam inwestycją w przedsiębiorstwo, a u nas — treścią zmysłu estetycznego. Ale szkodliwe umiłowanie szablonu, posługiwanie się *uniwersalnemi* zabiegami i kosmetykami przetrwało niemal we wszystkich krajach do doby współczesnej. Jedynie tylko Polska wyprzedziła poziom kultu piękna innych narodów, dzięki uświadomieniu w kierunku *samodzielnego i indywidualnego* pielęgnowania urody oraz możności korzystania z higjenicznych preparatów lekarsko - kosmetycznych jedynej dziś wytwórni „Miraculum“, opierającej się na ścisłem *dostosowywaniu kosmetyków do różnych właściwości cery*, włosów i skóry ciała. Z uznaniem zaznaczam, iż do każdego preparatu „Miraculum“, nawet do kosmetyków codziennego użytku (np. *puder egzotyczny Dra Lustra, proszek marmurowy „Miraculum“* do mycia t'ustej cery) załączona jest pouczająca broszurka o nowoczesnem, *indywidualnem* pielęgnowaniu urody.

Dr. Z. B.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13, (Hotel Europ.)

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięcznie 5 zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji: miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł.
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski* Druk Galewski i Dau, Warszawa

TO I OWO

Podczas procesu.

Prokurator: Proszę wyjaśnić, kiedy pan przeżył szczęśliwie kilka lat.

Oskarżony: Trwało to nawet pięć lat...

Prokurator: A co było później?

Oskarżony: Wróciła moja żona...

*

Między chłopcami:

— Czy wiesz, że mój ojciec po urodzeniu ważył tylko pięć funtów?

— Biedaczek. Czy on aby jeszcze żyje?

*

Na ulicy.

— Moja droga, przejdźmy prędko na drugą stronę...

— Po co?

— Nie widzisz, że idzie pan Wacław. Wiesz, jak nie lubię się z nim spotykać...

— Eh, to lepiej wejdźmy do magazynu z kapeluszami.

— No, to moje dziecko wolę już spotkać pana Wacława.

*



JENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ ADREMA

JANUSZ WOYCIECHOWSKI

WARSZAWA, NIECAŁA 8. TELEFONY: 215-10, 626.

Redakcja i Administracja, Warszawa, Szpitalna 12. Druk Galewski i Dau, Warszawa.